

**CYPRIAN NORWID**

# QUIDAM

**Adolescentus *quidam* sequentatur - S. Marc. XIV 51**

**Sunt *quidam* de hic stantibus qui - S. Math. XVI 28**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**DO Z. K.**  
**WYJĄTEK Z LISTU**

Czytałeś, i nawet, czego nie spodziałem się być, dawałeś do czytania ten rękopism **przypowieści** mojej, nazwany *Quidam*. Uważałeś zapewne, że dziełu temu dałem nazwę **przypowieści**, nie zaś **powieści**, a to z przyczyny, że intrygi i węzła dramatycznego, właściwego powieściom, wielce się tu wystrzegałem - nie o to mi szło, ale właśnie że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy.

Dlatego to i bohater jest tylko **ktos** - **jakiś tam człowiek** - *quidam*! Nic on nie działa, szuka tylko i pragnie dobra i prawdy, to jest, jak to mówią: nic właściwie nie robi - cierpi wiele, a zabity jest prawie że przypadkiem, i to w jatkach!

Jest tam i drugi **Quidam**, któremu to nazwisko przeszło było w imię własne, ale i ten jest tylko jakiś ogrodnik, jeden z miliona chrześcijan! Zali to jest tragiczne? - pozwalam Ci wątpić, wielki poeto!

Ale Ty, którego ś.p. Juliusz Słowacki nazwał **Poetą-Ruin**, i który jak nikt nigdzie umiałeś świat ruin opiewać, pozwól mi w zamian powiedzieć Ci, że w przypowieści tej mojej pomiędzy jej żywymi postaciami, lubo nie ma arków połamanych i rozrzuconych kolumn, nie mniej smętny, jakkolwiek z właściwego mi punktu oglądany, krajobraz ruin się przedstawia. Serce tej Zofii, tak czarującej talentami, a tak nerwami i wolą do siebie nienależnej, może właśnie całej jednej **świątyni-wiedzy** jest ruiną?

Cywilizacja, według wszelkiego podobieństwa, do dziś jeszcze podobna jest do tego kościoła, który za Kapitołem tyle razy przy księżycu świetle oglądałeś - do tego kościoła, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej, jako gołąb w rozłamanej klatce, przesuwając się, tak iż, mszy świętej idąc słuchać, przechodzi się owdzie przez Jowiszowy przysionek. Daruj mi więc, wielki poeto, że z niektórych tylko korzystałem uwag Twoich co do kształtowania się tej mojej przypowieści, inne za niebyłe uważając. Cywilizacja składa się z nabytków wiedzy **izraelskiej - greckiej - rzymskiej**, a lono Jej chrześcijańskie, czy myślisz, że w świadomej sobie rzeczywistości już tryumfalnie rozbłysło? **Mag** jest **Żyd** - **Artemidor** i **Zofia** są **Grekowie** - znajdziesz tam i **Rzym**, lubo Tobie, wielki poeto, inaczej i gdzie indziej, nie zaś w mniej plastycznych sferach, ruiny oglądać i słać przystało. Szczęśliwszym byłeś.

CYPRIAN NORWID

Pisałem 1859

## I

Przypłynął młodzian z górnego Epiru  
Do miasta Regium, na rzymskim okręcie;  
Grek był, lecz matki ród się wiódł z Iliru;  
Krwi też dwoistej wzajem przeniknięcie  
Na twarzy jego dostrzec można było,  
W sposób, iż profil z greckich miał medali,  
A w oczy patrząc: skroń nabrzmiałą siłą,  
I włos mniej ciemny - i usta z korali.  
Z Regium, jak długi brzeg, ku Puteoli  
W konnej i gwarnej jechał karawanie,  
Czas to był, kiedy z imperialnej woli  
Poczęto wielkie o drogach staranie,  
I częste mosty, z gładkiego kamienia,  
Skałę ze skałą wiązały ogniwnem -  
I różni ludzie, i różne cierpienia  
Żelazem granit obrabiały krzywem:  
Adryjan, cesarz w sztuce wszelkiej biegły,  
Dogłądać lubił kamienie i cegły.  
Od Puteoli, po appijskim bruku,  
Epirski młodzian zdążył już do Komy,  
A Romę marzył podobną do łuku  
Tryumfalnego, którego ogromy  
U samych niebios swój początek biorą,  
Lub samych niebios stały się podporą.  
Wszakże on jeden z całej karawany  
Marzył - gdy inni toczyli rozmowę,  
Jak świat na nowo został popisany ?  
O ile prawo carskie lub ludowe? -

Gdzie: w wstępnym Rynku albo w Trastubernae -  
Osły i konie zanocować wierne? -  
Jest coś wśród wielkich miast i naokoło,  
Zwłaszcza pod wieczór, zwłaszcza dla pielgrzyma,  
Co wypogadza lub zachmurza czoło,  
Ziejąc nań niby westchnienie olbrzyma -  
Jest coś w tym szmerze, co pierwszy dolata,  
Skoro się miejskich bram rozemknie krata.  
To coś - Epirczyk nasz poczuwał w chwili,  
Kiedy się kupcy z celnikiem wadzili  
O jucznych osłów porządek zmieszany -  
O kilka asów na lampę u ściany.  
Nareszcie w miasto weszła karawana,  
Wielkimi juki chmurna i leniwa,  
Raz jeszcze widzieć dając twarz młodziana,  
Gdzie się ulica okręcała krzywa,  
A strażnik z włócznią stojący brązową:  
„Ktoś jest?” - łatyńską zapytywał mową.  
„Syn Aleksandra z Epiru” - i dalej  
Osły a konie szły - - i znów pytali.

## II

Minął rok całym dni i godzin tokiem -  
Za Awentynem słońce czerwieniało.  
Przez plac dwóch ludzi szło swobodnym krokiem,  
Zbliżonych k'sobie jak dwugłowne ciało.  
Wieczór był cichy, cichością jedyną,  
Samemu tylko właściwą Rzymowi.  
Ni wieś, ni miasto - tu cię woły miną,

A tam wykwinna biga zastanowi;  
Tłumy z jakiegoś wracają igrzyska,  
Po wzgórzach warty obchodzą **wigilie** -  
Chłopięta śmietnik zmieniają w ogniska,  
Cyprysy milczą - woń roznoszą lilie –  
Syn Aleksandra, wstrzymawszy się nieco,  
Do gramatyka rzymskiego te słowa  
Mówił: „Te światła, co u wnijscia świecą,  
Gdzie właśnie nocna przelatuje sowa,  
Rok temu, skoro zapalano, pomnę:  
Wjeżdżałem obcy w to miasto ogromne.”  
„Któż by zgadł? - na to Gramatyk odrzecz -  
Że oto w czasie tak krótkim, zaiste,  
Nieokrzese straciwszy narzecz,  
Latyńskie słowo wypowiadasz czyste!  
Co więcej! mądrość mający na celu,  
Kto by zgadł, mówię, że w wjazdu rocznicę  
Zwiedzić już myślisz, młody przyjacielu,  
Artemidora mądrości świątnicę?” -  
„W czasie tak krótkim, powiadasz - pociecha!”  
Epirczyk odrzekł z westchnieniem głębokim.

### III

I szli. - Rok minął dni i godzin tokiem.  
Artemidora ogród oświecony:  
*Fastigium* domu nad skrawym obłokiem  
Czerni się w trójkąt; niżej biust złożony,  
Z framugi ciężkie wychyliwszy czoło,  
Rzekłbyś, iż chyłkiem pogląda wokoło.

**Zofiję z Knidos** mędrzec miał u siebie.

- Uczniowie w laurów ciennikach siedzieli,

Czekając: gwiazdy aż błysną na niebie,

Czekając: pomoc aż ich rozweseli

Tym ogniem tylko pomocy właściwym,

Ni to widzialnym, ni światłym, lecz żywym,

Ogniem wewnętrznej gorączki i drgania

Powiek, gdy ciężęć poczną od czuwania,

A słów mierzonym śpiewanych akcentem

Skoro się przy tym wyrzuci niemało,

I subtelności niejednej, zakretem

Wstecznym, skoro się dobrze naszukało - -

I człowiek, w całej myślenia machinie,

Poczyna czuć się zostawionym sobie,

Lubując giętkość jak skoczek na linie,

Starego ojca niosący w osobie.

- Tej to gorączki z nałogu czekano,

A coraz nową rzecz dyskutowano.

Zofija z Knidos pośród tej drużyny

Mądrej podobną była do opalu,

Co zda się mieścić wszystkie tęczy płyny -

Lecz nie rozlewa ich z skąpstwa czy żalu?

Żalu - bo opal z łzawym błyska mętem;

Skąpstwa - bo blask swój wycedza ze wstrętem.

Zrodzona w Knidos, w Rzymie wychowana,

Gdyby to było nie za Adryjana,

Kiedy już Sybill błękitne jaskinie

Proroczych w sobie nie kryły trójnogów -

Może by głos jej był jako naczynie

Brzmiące - dla ludzi śmiertelnych i bogów.  
Lecz inny wzywał smak, rządziło nie to:  
Była więc więcej od Sybill - **kobietą!**  
Była tym samym - bo czasów własnością,  
Natchnieniem smaków ich - z bezświadomością!  
Pod tymi laury, których liść szeroki  
Lamp różnofarbnych złamały promienie,  
Szaty ją wiewne tulą jak obłoki  
I układają na ciche kamienie -  
Z rzeźbą ich łącząc tak żywą naturę,  
Jak rzeźba wpaja się w architekturę.  
Zaiste, odłam to jakiejś świątyni,  
Gdzieś barbarzyńskim roztartej obuchem -  
Nikt zeń całości nowej nie uczyni,  
Ni ją spokrewni z cudzoziemskim duchem:  
Zawsze to będzie pamiątka bez-łzawa  
Czegoś, co nie ma istoty ni prawa.  
Ty, coś ją widział, zakryj sobie oczy  
I powiedz, co z niej pamiętasz szczególnie?  
Nie gładkość czoła, ni wieniec warkoczy,  
Pamiętasz jakieś **wzięcie się** - ogólnie -  
I głos: ten słodkie miewać zwykł poczęcie  
Potem się kroplił jako płyn - a potem  
Jakobyś srebrnym wydzwaniał go młotem -  
Potem - i rylca było w nim zgrzytnięcie!  
Ruch też głosowi wtórował, a zawsze  
Prędzej, w obejście przechodząc łaskawsze.  
Taką to panią mędrzec gościł w chwili,  
Kiedy przez *salve* mozaiką wybite,

Na progach sieni stopami zużyte,  
Mężę dwaj cichym koturnem wchodzili.  
Starszy był w szarym płaszczu i tunice,  
A laskę przed się stawiał jako świecę  
Prostą, o wiele dłuższą nad użytek.  
Każdy zwój płaszcza jego, założony  
Jak pergaminu pisanego zwitek,  
Łamał się ostro lub obsuwał w strony,  
W sposób, iż z tyłu widząc go o zmroku,  
Jak sprzęt nieżywy wydałby się oku -  
Sprzęt świeżo zdjętą szatą obrzucony.  
„Mistrzu Jazonie Magu! - rzekł mu drugi  
Czy nie raczycie prosto do ogrodu?” -  
A w głosie jego było coś i sługi,  
I przyjaciela, i bliskiego z rodu.  
- Starzec krok zwrócił za odpowiedź całą  
I weszli oba boczną furtką małą.  
Weszli - ostatni goście spodziewam.  
Perystyl odtąd pustą już przestrzenią - -  
W alabastrowej lampie stojąc bani,  
Mdląła - kolumny blado się czerwienią  
Od strony światła, ciemniejąc od drugiej -  
Czasem słów kilka posłyszysz za sienią,  
Czasem leniwy krok sennego sługi.  
Lampa przedzgonnym co tryśnie promieniem,  
To się mozaiki na ziemi poruszają,  
To arabeski zatrząsą sklepieniem,  
Jakby gmach - ciałem, ona była duszą.

#### IV

Pomiędzy świtem a nocy zniknięciem  
Płomienne blaski różowe z mrokami  
Walczą, jak Cnota z **świata-tego** Księciem -  
Mdlawe, lecz ufne, choć wciąż je coś mamy.  
Pomiędzy świtem a nocą jest chwila,  
Gdy hoże łuny z czarnymi krepami  
Błądzą, aż bystry promień je przesila.  
Ostatnia gwiazda wtedy w niebo tonie,  
A słońce rude swe wynosi skronie -  
I periodyczna pamiątka **stworzenia**  
Wciąż od **Pańskiego** kreśli się skinienia.  
- Pod taką dobę do swojej gospody  
Syn Aleksandra z Epiru powraca.  
Wszedł i dwa palce przyłożył do brody:  
Drgnął, błędną ręką płaszcz na sobie maca;  
Co gęstsze zwoje, to otrząsnął lepiej -  
I wybiegł krokiem niepewnym, jak ślepi.  
Niewiasta, za nim patrząc z korytarza,  
Etruskiej lampy knot podjęła igłą  
I poruszyła oliwę zastygłą,  
Mrucząc: „Czy mieszek? drachmę? nie uważa!”  
Tak szepcąc, w ciemność kątów pozierała,  
I szła, i milkła, i znów coś szeptała

#### V

Pomiędzy świtem a nocy zniknięciem  
Płomienne blaski różowe z mrokami  
Walczą, jak Cnota z **świata-tego** Księciem -

Mdławe, lecz ufne, choć wciąż je mrok mami.

- Pod taką dobę u Artemidora

Do głównej sali wracano z ogrodu:

Śniadać zbliżyła się konieczna pora

Dla gości, skrzydłem poruszonych chłodu,

Chłodu, co, lubo letni, ostro godził

Na bezsennością gorące powieki

I trzeźwił róże mdłe, a oczom szkodził,

Po-rozparzanym od wewnętrznej spieki.

Szli więc do sali, gdy niewolnik zasię,

Do laurowego wbiegnąwszy ciennika,

Zdjął lirę Zofii wiszącą na pasie,

Pargaminowe zwitki spod stolika,

Pudełko z kości słoniowej z woniami,

I oddał służbie stojącej za drzwiami.

-----

Niedługo uczta u Artemidora

Zwykłymi kończyć się będzie toasty;

Wszelkiej tam rzeczy osobna jest pora,

I o wigilii najdalej dwunastej

Ktokolwiek *salve* wybite mozaiką

Koturnem swoim niebacznie zawadzi,

Przyjętą będzie pocieszał się bajką:

Że Mistrz dyktuje właśnie, albo radzi.

- Z Koryntu rodem, Artemidor w Rzymie

Sławy urokiem otoczył swe imię;

Był nawet wzywany i do Adryjana,

Na posłuchania treści niewiadomej -

Bliżsi wszelako - tych przyjmował z rana -

Twierdzili, że był wolnym jak atomy,  
Że w Adryjanie **cesarz** dlań jest **czlekiem**,  
Że Amaltei napawa go mlekiem,  
Że w jednym ledwo folguje mu snadnie:  
W archeologii - którą zna dokładnie.  
Pewna jest wszakże, iż ci bliżsi, właśnie  
Im więcej bliżsi, widzieli mniej jaśnie.  
To miał do siebie Mędrzec, tak iż w domu  
Stawał się prawie nie znanym nikomu.  
Nie był to wszakże fałszerz, ni jakowy  
Pochlebca płaski, ni umysł jałowy,  
Ni tajemnicą owiany mąż czynu,  
Arystokracji szpieg, albo szpieg gminu.  
- Wcale. - Filozof był to szkoły własnej -  
Ta, że posady nie mając zbyt jasnej,  
Utrzymywała się w całości ścistej  
Przez solidarnie ukrywaną próżnię,  
Im bardziej uczeń w duchu był zawisty,  
Zobowiązywał więcej - lecz ostrożnie -  
Wylania przy tym skąpy? czy lękliwy?  
Kończył, iż jak się skłamał, tak był żywy!  
Chcesz poznać wartość szkoły lub podania,  
Na ich ostatnie spojrzysz egzemplarze:  
Tych jeśli błędem są **pocałowania**,  
Jakaż być musi miłość pierwo-wzoru! -  
Tych jeśli cechą jest **siła-uporu**,  
Jakaż być musi na czele **skalistość**? -  
Tych jeśli brudem całym **szata z woru**,  
Jakaż być musi na górze **przezczystość**?

Artemidora uliczni czciele  
Podobni byli do zbiegłych klientów,  
Gdy ogłuszali, rozprawiali wiele;  
Skoro kto przeczyć śmiał - szukali mętów,  
A często naprzód, czując się niepewni,  
Kończyli śmiechem lub milknęli rzewni.  
Dla mniej ćwiczonych mieli pobłażanie,  
Zwłaszcza w publicznych miejscach oczywiste;  
Lecz jakby mówiąc: „Cóż mi dajesz za nie?  
Uderz choć czołem i wpisz się na listę.”  
Koryncki mędrzec mawiać zwykł: „Gdzie ruszę,  
Oblegają mię te Epimeusze „ -  
I nieraz w szczerym widziałeś go gniewie,  
Gdy który z owych wieszał się na drzewie,  
Lub patrzył w ogród Artemidorowy,  
Co robi mędrzec? gdy nie miewa mowy -

## VI

Zofia, do siebie weszedłszy leniwo,  
Wśród perskiej sofy skronie utuliła  
I płaszczą jeden róg powlekła krzywo  
Ku ramieniowi - i tak zostawiła:  
Nie jak kto spocząć chcący się odziewa,  
Lecz jak kto, **nie chcąc nic**, co pocznie, zrywa.  
Ten ją owładnął woli bezkierunek -  
I zostawała tak, patrząc na lirę,  
Na skrzynkę z kości, gdzie się chowa mirrę,  
Na zwitki wreszcie, które przez trafunek,  
Pomięszął sługa z przenośnym ciężarem -

I pomyśliła: co też one znaczą? -  
Lecz zostawała pod bezwoli czarem,  
Marząc: czy same do niej przyjść nie raczą? –  
Słońce coraz to jaśniejszym promieniem  
I coraz cieplej wzierało w mieszkania,  
Przedmioty jedne usuwając cieniem,  
Zbliżając drugie przez ich wyświeblania.  
Na pergaminu zwitek promień żwawy  
Spadł, jako złoty liść na ciemne trawy,  
I błyszczał, chwiejąc się niejaką chwilę -  
I znikł - i nastał moment ciemnej przerwy:  
Płaszcz Zofii frunął z lekka, jak motyle -  
Wstała - i legła znów, patrząc jak pierwej.  
Kto była Zofia? - wiemy, lecz **czym** w Rzymie?  
Odpowiedź z zwykłych pozorów zawiała:  
Bezmężna, sama w willi swojej żyła.  
Nadawano jej **Poetessy** imię;  
I tę językom ludzkim dawszy stronę  
Osobistości swej, czuła się wolną.  
- „Nie darmo piorun laurową koronę  
**Mija**”\* - mawiała, gdy była swywolną,  
Gdy osłupienia mijały ją owe  
Częste, dla których uchodziła w stronę,  
Lub jak niedawno na pergaminowe  
Patrzyła zwitki - - - - -  
- - - - - osłupienia, niby  
Do wyczerpnięcia wewnętrznego podobne:  
Oczy jej wtedy szklily się jak szyby l  
Zdały się szukać czegoś palce drobne:

Czegoś, jak gdyby strun liry zniknionej -  
Czegoś, jak gdyby perełki zgubionej.  
Nareszcie wstała - za nią płaszcz szkarłatny  
Powłókł się, jako ciężkiej fali struga.  
Podjęła zwitki w sposób tak udatny,  
Jakby kto patrzył na nią, może sługa -  
I rozwinąwszy, że były obfite,  
Ciekawość wzrosła, co by zawierały? -  
Lecz nie czytała - raczej, jak są zwite,  
Baczyła, zwój ich roztoczywszy cały,  
Podobną będąc w tej cichej robocie  
Do jakiej dawnej Sybilli, gdy w grocie  
Poprzekreślanej słońca promieniami,  
Jak w strunach złotej liry rozrzuconych,  
Duma - a duch jej trzepoce skrzydłami,  
O wysokościach marząc niezgłębionych.  
Wreszcie, początek znalazłszy rapsodu,  
Czytała - - - - -  
- - „**Zofio!**” - greckie były słowa -  
Tu zatrzymała się: „Szkoda zachodu! -  
Mówiąc - za długa rzecz: rozboli głowa -”  
Dalej: „**Zofijo!** - znaczy tu: **mądrości!**” -  
I śmiać się bardzo poczęła z zazdrości -  
Komu? - mądrości? - więc, kończąc czytanie  
Rzekła: „Nie do mnie!” - z gniewu czy z radości -  
„Wszelako - krewne mi te wszystkie panie  
Z Olimpu, bądźmyż przeto, jak przystoi  
Na pokrewieństwo, mądrzy - cóż tam stoi?”  
- - - - -

## ZWITEK PIERWSZY

### § 1

Mądrości! tobie poślubiłem z dawna -  
I oto wzięła mię ta Roma sławna  
W wielmożne dłonie swoje, mnie, z Epiru  
Sierotę! - Ówdzie mdłą byłem rośliną  
Na pustce dziadów; tu - drobiną żwiru.  
Mniej: pyłem, może i pyłu drobiną.  
Zowąd próg domu zdawał mi się światem,  
Stąd Epir cały progiem mi domowym.  
Rozszerzyłem się, prawda; idzież zatem,  
Że wzrosłem?- - - - -  
- - - - zwitkiem tym pargaminowym  
Można by ludzi otoczyć gromadę,  
Tak bo szeroki! - wszakże jednym słowem,  
Krótszym a głębszym, wlewać można radę,  
Moc, rozrzewnienie, pociechę, lub zradę! -  
Cóż stąd?—  
Czy człowiek, widząc tak szeroko  
Na każdą chwilę swojego żywota,  
Ile zakreśla mu dokoła oko,  
Doszedłby, gdzie są wszech-mądrości wrota? -  
I wielkich świata spotkał luminarzy  
Tam, gdzie powinien, nie tam, gdzie się zdarzy?  
Czy raczej zwiedzić winien obszar cały,  
Nie okiem jego, lecz okiem ludzkości  
Skreślony jemu, gdy był jeszcze mały,  
I śnił na progów własnych pochyłości,  
I patrząc, gdzie się widnokrąg zasklepia,

Myślił, że człowiek, skoro tam dobieży,  
Rękoma swymi niebios się uczepia,  
Wysysa nektar i jak Bachus leży? –

-----

Trzebaż więc zawsze, by serce górala  
Po brukach miasta pierwej się wytarło  
I łza człowiecza wędrowała z dala  
Tu? - by samotniej niż w zaciszy marła,  
Twardniejąc z wolna jak ziarno opala!  
Złotnik ażeby brał potem jej jądro,  
Ważył i w kolce osadzał, i może,  
Dewizą jaką naznaczywszy mądrą,  
Przypiął do cizem, lub psu na obroź! -  
Nie! - **tu jest** czasów jakaś tajemnica,  
Albo tu kłamie się już jak dla rymu,  
Albo jednego tu nie ma szlachcica,  
Co by, jak Scipio, sam gadał do Rzymu,  
Albo tu cała szlachta - to konnica! -

-----

Nie! - - prawdy dziwnej bliskość czuję łonem! -  
Ateny przecież jak Rzym świetne były,  
A jednak Scyta Zamolksys z Solonem  
Różnił się, niby odmienne dwie siły.  
- Mamże Epiru zostać Pigmalionem,  
Czy rzymskie jeszcze oglądać mogiły  
W ogromnych łunach? - i, mimo Zeusa,  
Padłe, jak niegdyś Korynt za Mumiusa? -  
Stój! -

W rymie zdradnej płynności jest siła:

Sybilla stara, co w sieniach mych dziadów

Siadała jadać, pomnę, że mówiła:

By strzec się echa-słów, i winogradów

Upajających nie tykać nad miarę.

- Któż retoryki nauczał tę stare? -

Mistrz gdzie? co onej nie szczędził przykładów -

-----

Nicość! -----

## §2

- - Skończyłem wczora na **zwątpieniu** -

Dziś mój gramatyk wskazał mi cynika

Sławnego w Rzymie - nie powiem imienia.

- Są ludzie, których lepiej znać z ich cienia:

Twarz w twarz spojrzawszy, osobistość znika.

Tego gdzieś medal widziałem brodaty

Z zagłębiającym się w przestrzeń wejrzeniem;

Dziś mówił myślą, słowem i skinieniem,

Najoczywiściej - w ostatnie bogaty.

Co myśli? - nie wiem; co mówił? - nie pomnę;

Co cierpi? - z płaszczu wyczytałem w łaty -

Smutno mi -

- - - - - Rzym - jest to miasto ogromne.

## §3

Kto jest **Mistrz-Jazon-Mag?** - zapytać muszę:

Mąż tajemniczy a powszechnie znany -

Kto **Artemidor?** - o tym wiele tuszę -

Kto są tak zwane w Rzymie **Chrześcijany?**

§4

Adryjan cesarz wymyślił rzecz nową:  
Każdy wiek inną wyrazić budową.  
Będzie to jakby historii zwierciadło,  
Będzie to jakby sztuki abecadło,  
Ogromne dzieło i praca niemała!  
Narodów różnych niewolnik zajęty -  
Wiek się zadziwi, przemysłowi chwała!  
- W prowincje nawet rozchodzą okręty:  
To z robotnikiem, to z ciętym marmurem.

-----

Rzym jeden Rzymem, a świat - jego murem.

§5

Mistrz Artemidor dzisiaj szedł ulicą,  
Trzymając w ręku liść lauru: przypadkiem  
Uronił tenże - uczniu wraz rozchwycą.  
Tak niegdyś z polnym postąpiłem kwiatkiem.  
Tu mądrość, owdzie zachwycę lico;  
Tamto - to było kiedyś, i ukradkiem -  
Są myśli, które choć naznaczyć trzeba  
Czymś, jakoś - później one się rozświecą! -  
Zda się, iż równie znachodzi je sztuka,  
Podobną będąc zbłąkanej dziecinie,  
Co nuci, patrzy i maca, i szuka - -

-----

Ten ustęp mamże pozostawić czy nie? -

§ 6

Że to nie piszę na stylu wystawę,  
Naznaczyć muszę choć kilkoma słowy:

Widziałem dzisiaj twarze dwie bladawe  
Dwóch niewolników, dwie schylone głowy,  
Związane ręce - byli to zbrodniarze,  
Niewdzięczni panu swemu, zbiegi, trutnie,  
Leniwcy - wspomnieć smutno, jakie twarze!  
Jeden uśmiechał się bardzo okrutnie,  
Wejrzenie widzów raniąc - drugi w kroku  
Zdązał mu, przeto iż dłuższy był w stanie,  
Szli tak w kurzawy i pięści obłoku -

-----  
Jak mam rozumieć tygrysom rzucanie?

§7

Cóż jest niewolnik? -----

-----

-----

---- „W siódmym paragrafie

Iglicą znacze” - to Zofia mówiła,

I zwój, jak długi był, na powrót wiła.

Potem: „Doczytam i w toż miejsce trafię” -

Dodała, ręką przecierając czoło -

Potem: „Pamiętnik dziwny” - potem: „Kto to?

Przychodzień jakiś - u Artemidora?

Kto był? - rada bym poznać go z ochotą.

Mistrz-Jazon! - przy nim młodzian jakiś wczora

W cienniku bocznym przechadzał się długo;

Wszelako owy, wiem, skąd rodem. Sługo!”

Tak gdy kończyła Zofia wykrzyknikiem,

Kotara boczna fałdy szerokiemi

Drgnęła, rozsuwać wszcząwszy się od ziemi,

I Egipcjanka, uprzedzona sykiem,  
Jak syka człowiek, gdy igłą się zrani,  
Weszła, nietrudny ukłon dając pani.  
Zofia milczała, pismo mając w dłoni,  
Zaś niedoszyte płótno swe niewiasta  
Trzymała - wreszcie słowa te uroni:  
„Która wigilia?” - „Wigilia dwunasta.” -  
„Dosyć” - służąca znikła za kotarą -  
Pani się przeszła swobodnie po sali,  
Lecz gdybyś pierwej na oną twarz starą  
Patrzył, a potem zatrzymał się w dali,  
By, niewidzialnym będąc, Zofię widzieć -  
Rzekłbyś: „Zaiste! piękne **straszne** bywa,  
Odkąd się człowiek pocznie za nie wstydić.”  
Tak bo bezładnie na twarzy jej grało  
Uzucie błędne i znużone ciało.  
To rzekłbyś, widzu, i dodałbyś: „**Smutno!**  
Patrycjatowi, scyjencji, epoce.”  
- A potem łzę byś na egipskie płótno  
Rzucił i nie w te uwierzyłbyś moce  
Rzymu, pod maską wylęgle okrutną -  
I nie w te czucia, które dają noce  
Dyjalektyczne u mistrzów wymowy.  
Tak zaś bolesnym poczuwając drgnieniem,  
Nie byłbyś zdolnym **rzec jasnymi słowy**,  
Lecz byłbyś zdolnym **dotykać sumieniem**.  
Są bowiem drogi dwie wyrozumienia:  
Przez wiedzę jasną lub skryte cierpienia;  
Druga, na Zofii twarz rzucając światło,

A światło z sługi jej przyjścia wywarte,  
Zmieniała pierwszą, to jest wiedzę, na tło,  
Na zapisaną, lecz czytelną kartę.  
Jakoż w ten sposób czytając osobę,  
Mylić się można sto razy na dobę;  
Raz wszakże zgadłszy, wie się więcej o niej,  
Niż żebyś rok z nią przeżył na ustroni.  
Po chwili Zofia przepatrzyła jeszcze  
Pargaminowy zwój cały, jak długi,  
Z uwagą, z jaką baczne czynią sługi  
O szatę pana, gdy padały deszcze,  
I skryte w ścianie otwarłszy framugi,  
W alabastrową złożyła go urnę,  
To rzekłszy: „Kiedyś wyleję, jak strugi,  
Wszystkie te razem rapsody pochmurne,  
Które do siebie mają, że upadam,  
I nie rozumiem się, i nie posiadam.”  
Wszakże mówiła tak drażliwa pani,  
Jak ktoś z owoców ocknięcia wesoły:  
Nim się rozbudzi, właśnie świt go rani -  
I gniewałby się na same anioły;  
Humor - z którego powstają **tyrani!**  
Nie była wszakże Zofia złą kobietą,  
Ani aniołem pisarz pamiętnika -  
Lecz stało się to przez oną ukrytą  
Potęgę czasów, gdy w żyjących wnika  
I aktorami czyni ich dramatu -  
Co się rozwija jak cierń, lub pąk kwiatu.  
Po chwili jeszcze z tej drugiej potęgi,

Snu czy lenistwa swego, ocknęła się  
I, jakby znikło jej wspomnienie księgi,  
Egipcyankę znów pyta o czasie:  
„Którą wigilię obchodziły warty?” -  
Lecz dlań odpowiedź była obojętną,  
A głos już więcej szczery i otwarty,  
A sługa cicha bynajmniej natrętną.  
Po tym przechodnim dysonansie ona  
Stała się trzecią osobą - tą samą,  
Którą widziałeś wśród mądrego grona,  
Z służbą jej stojąc ukradkiem za bramą.

\* Przysłowie, a pierw zabobon Rzymian.

## VII

„Więc z nimże samym mówiłeś dziś jeszcze?  
Gdzie? w sali bocznej przy *impluvium*, czyli  
W ogrodzie?”  
„Nie wiem - tylko, jednej chwili,  
Słuchając, pomnę, że na fali dreszcze  
Patrzyłem, ruch jej śledząc ondularny;  
Więc - przy *impluvium* dziać się to musiało:  
Człowiek tak z miejscem bywa solidarny,  
Czy myśl tak często łączy się z przestrzenią,  
Że jakaś licha rzecz i przedmiot mamy  
Przez porównanie świecą jej lub cienia?” -  
„Zaiste - na to odpowie Gramatyk -  
Skąd idziesz, zgadłbym, słyszawszy ten **attyk**.  
**Nie przeto jednak** mało jest dziś w Rzymie

Jak Artemidor wymownych, i wnoszę,  
Że obcy nawet słyszał już to imię,  
I że nie pierwszy ja chlubnie je głoszę -  
I że dość wyrzec: **on!**” -  
- Gdy szli ulicą,  
Gramatykowi przerwał poczet konny,  
Nadbiegający z taką błyskawicą  
Hełmów i mieczów, i dzid, które świecą,  
I orłów, zastęp znaczących koronny,  
Iż skoro kurzu dwie spadały fale  
Na dwa przechodniów rozstępy zdziwione,  
Syn Aleksandra znalazł się przy **Skale**.\*  
Gramatyk nie mógł przejść w tęż samą stronę  
I niecierpliwe dawał tylko znaki,  
Co chce - jak młode poza gniazdem ptaki.  
Środkiem zaś onych przechodnich rozstępów  
Biegł najprzód hufiec ów w jasnych zbroicach;  
Lamparcie skóry tym, jak skrzydła sępów,  
Zdały się pierzem wyrastać przy licach,  
Dotykać ledwo bark i pływać w wietrze.  
Pierwszy ten szereg orły trzymał cztery  
I - *S.P.Q.R.* - złożone litery  
Na ciężkich włóczniach. Drugi - zbroje letsze,  
Sposobem Partów do ciała przywarte,  
Welgnione w konia zagiętem kolanem -  
I piersi na przód swobodnie otwarte  
Z łuskowem kryciem jasnym, jakby szklanem.  
Nad tym zastępem w trzy strome ogniwa  
Trzy wieńce łączą się, i w kształt tablicy

Wyobrazenie jaśniej wilczycy,  
Dalej i dacki smok z ogonem pływa,  
I kręte trąby miedziane trębaczy,  
I krzyk: „Odeprzeć! - kto zboczyć nie raczy.”  
- Za tym przestanek - jedna kurzu skiba  
Przepadająca w nic, jak na dno ryba,  
I jedna chwila rytmowej cichości -  
I dumy pełen czy opieszalności,  
Czy wyróżniony przez ruchu swobodę,  
Pretor na koniu płowym, mąż otyły,  
Oglądający się, gładzący brodę,  
Jak człek urzędu pewny, lub swej siły.  
Ten, z wolna jadąc, piesze wiódł szeregi,  
Do środka w koło nieporządnie zwite,  
Jak cyrk przenośny z okolnymi brzegi  
I oś mający stanowczo nie wbite.  
Tą osią byli do pół obnażeni  
Mężę trzej, dobrze powrozem ściśnieni,  
Lecz onych ledwo widziałeś niekiedy  
Czoła lub piersi nagością świecące,  
Wśród chmur zwichrzonej dokoła czeredy  
To wyjawione, to zapadające.  
I były one jakoby członkami,  
Co nieraz leżą na cyrku drgające,  
I lśniły one za różeg snopami  
- Różeg, co sądy znaczą i liktorów -  
Jak białe lilie gęsto ogrodzone,  
Jak białe lilie z sadu wychylone,  
Widne przez wrota szerokich toporów,

Co przywierały się lub zawierały,  
Skoro się męże niosący je wili  
Ulicą krzywą, pod stopami Skały.  
Przed onym płotem toporów i wid  
Szli i kapłani, niosąc kadzielnice:  
Poważni, czasem po oczy zakryci,  
Wyzierający tylko na ulicę,  
Kiedy się zmięszał porządek szeregów.  
Także i tłumacz, i pisarz, i szpiegów,  
I świadków nieco - dalej poczet drugi:  
Ciekawych - swoją hierarchię mający,  
Przez onych pierwszych klientów i sługi,  
Lecz mniej solenny i rozprawiający.  
Do wpół na osła pochylony grzywie,  
Fig kupiec mówił: „Żydów trzech powlekli!” -  
„Chrześcjan!” - gladiator odparł mu chrapliwie.  
„Wróćmy” - ktoś inny. „Choćby też osiekli -  
Gladiator rzecze - nie ma po co chodzić.  
Nędzne to - hajże! - odrość się, odrodzić,  
Zawdziać się w siłę na cyrku zdobytą  
Nie taka łatwa rzecz! - cóż? że i bito,  
Ale jak bito?” - to mówiąc dokładał  
Pięściami na wiatr, okraczał, przysiadał,  
Wołając: „Hajże! - w słup - *dextra! sinistra!*” -  
„Naści, lwie!” - kupiec rzekł, rzucając figą -  
A inny drugą: „Moja więcej bystra” -  
A inny: „Moją zawarczę jak frygą” -  
„Wiecie co? ja wam dopiero wyłożę  
Rzecz, co słyszałem w kuchni senatorskiej!

Pozwólcie, ino płaszcz lepiej założę” -  
I spluwał, akcent kłamiąc oratorski.  
„Pozwólcie - rzecz ta ciekawą być może -  
Pozwólcie!” - mówił po trzecie mąż mały,  
Z wielkimi w uszach srebrnymi kolcami,  
Mówił wśród klasku fig, co wciąż padały.  
„*Tandem*, to rzecz jest, w której dosyć idzie  
O ogrodnika pewnego.” - - „O **Gwidzie**  
Będziesz mi mówił - kupiec fig zawoła. -  
Wiem, iż powlekli tego apostoła -”  
„**Gwidzie?**” - z kolcami mąż odeprze maty. -  
„Tu jest pytanie, jak wyklada szkoła ?  
**Gwido** wulgarne powieści go zwały,  
Że bez nazwiska był, bez nazwy - zgoła  
Sierota, *quidam*, zwana dalej *quido*,  
I nieuczona gawiedź, która woła:  
„Gwido”, lub nazwę łączy **apostoła**  
I inne - wszakże nie wiedząc, skąd idą!”  
Tak mówił drugi ów gladiator słowa  
Coraz to szybciej - gdy osoba nowa  
Użyła większej jeszcze ciekawości,  
Mówiąc: „Sam **boski** cesarz w swej mądrości  
Dozwala bogów czcić wszelkiemu człeku,  
Ani wyzuwa z dóbr, praw i wolności  
Za to - jak działo się innego wieku.  
- Sam boski, boskie cenić umie rzeczy:  
Ale jest prawo, i to służy jemu,  
I jemu przeczy ten, kto prawu przeczy;  
A prawo trzeba znać - z czego pochodzi,

Że jest ciekawa rzecz, jak się to zgodzi:  
I czy fałszywie Gwidon oskarżony,  
I jako obie pokażą się strony?" -  
To rzekłszy, cofnął się do towarzysza,  
Który na boku wstrzymał się na chwilę -  
I szli pośpieszniej.  
„Różnie się ucisza  
Lud” - rzekł Gramatyk. - „O tyle, o ile” -  
Towarzysz na to - i szli. - „Przez przypadek  
Znalazłem się w tym zgiełku; nie sam byłem:  
Zginął mi **uczeń**” - tu uczynił spadek  
W głosie i nieco obrócił się tyłem -  
„Uczeń?” - „Jakoby - przyjaciel niejaki  
Artemidora, z prowincji młodzieniec,  
Którego wdrożam w treść wiedzy wszelakiej,  
Gotując może tożę, urząd, wieniec -  
Zresztą nie **uczeń**, jak to **wy** zowiecie.” -  
„Różne są nazwisk użycia na świecie” -  
Towarzysz na to. - „Jakże zdrowie Maga?” -  
Gramatyk znowu. - Po chwili milczenia  
Towarzysz na to: „Pochlebne życzenia! -  
Dzięki! - jak zawsze: **taż sama powaga.**” -  
„Więc zdrów?” - „**Więc** - na to towarzysz odrzeczę  
*Vale.*” - Gramatyk rzekł: „Oto ma zguba!” -  
I okręcił się łokciami jak szruba,  
Gdy wraz Epirczyk dodał: „Nie uciecze” -  
Z uśmiechem także witając drugiego.  
„Widziałem, pomnę, u Artemidora  
I mam do Mistrza list.” - „Przyszły kolego” -

Odpowie **Barchob**, uczeń, i zdążali  
Milcząc, jakby się wcale lub dość znali.

\*Skałą nazywano cały obwód kapitolijski.

## VIII

Teraca była mozaiką wysłana,  
Przedstawiającą modre pawi stado.  
Wchodnią tej ścianą jest domostwa ściana,  
Z trzech innych każda przejrzystą arkadą,  
A każda z arkad tych poopierana  
Na faunach, którzy wieńce na się kładą,  
W sposób iż, stojąc w takowej teracy,  
Podobny jesteś do biustu pod łukiem,  
Gdy nogi twoje suną jak po tacy,  
Z gładkim klejnotów bawiące się brukiem.  
Dodać tu jeszcze należy popstrzenie  
Cieniami liści i różne zielenie  
Rozlicznych krzewów, co mają stosowny  
Ton zieloności do kwiatów swych blasku,  
Często i zapach, jak przekład dosłowny -  
A poznasz Zofii dom po tym obrazku.  
Tam Artemidor gdy wchodził swobodnie,  
Zofia ruszyła iglicą kościaną:  
Wraz z stołu, który ma półkosze spodnie,  
Spadł w nie zwój pisma, ścierając się z ścianą,  
I spoczął w mroku, jak owi, co leżą  
W cieniach, czekając, póki nie zostaną  
Oddani rzeczom, do których należą,

A wtedy będą rozwici i staną.  
„Szczęśliwież wchodzę albo nieszczęśliwie?” -  
Mówił, bynajmniej nie troszcząc się o to,  
Jak ten, co palec kładzie na ogniwie  
Brązowym u drzwi, z nałogu ochotą,  
I teźże treści odbiera skinienie,  
Jak nieczekaną odpowiedź lub echo,  
Pewny, że nie jest troską ni pociechą -  
Podobnie mówią poza Styksem cienie!  
Wszelako Zofia gdy podniosła oczy,  
Spadała jeszcze z nich czytania krepa,  
Co po mozolnej pracy chwilę mroczy,  
Gdy, duch że czuwał, natura jest ślepa,  
Póki się w nowy akord z nim nie stoczy -  
Więc rzekła niemniej mało trafnym słowem:  
„Cóż jest szczęśliwość?”  
„Dowieść to gotow-em,  
Acz w sprzeczny sposób, bo wchodząc nie w porę -”  
„To ledwo dowód, że różne są doby,  
Organizacje też zdrowe i chore -  
Lub że nie tykać **tych rzeczy** - byłoby  
Lepiej - „  
„Tych rzeczy ?”  
„Lub w inne sposoby.”  
Zofia, to wszystko do Artemidora  
Mówiąc, kończyła jakoby czytanie;  
Po chwili wszakże rzekła: „Jestem chora!  
Mów mi - czy Jazon Mag nie będzie w stanie,  
Jak to niejednej uczynił osobie,

Przez ziół potęgę, lub przez zaklinanie,  
Wzmóc mię? i o tej czy nas przyjmie dobie?”  
„Nas? w tym wątpliwość, acz sam doń dziś idę •  
Nie mawia bowiem naraz z dwojgiem osób,  
Do elokwencji mając dar i sposób,  
Jakby kto brał się przenieść piramidę! -”  
„Idź-że” - mówiła, podnosząc się z wolna,  
A potem w dłonie klasnęła swywolna,  
I Egipcjance, po cichu wchodzącej,  
Wskazała znakiem, co ma ponieść za nią -  
Gdy Mędrzec czekał, aż wreszcie niechęący  
Dała mu rękę i wyszedł z swą panią.  
Poszli - za nimi wonie olejkowe  
I szat szelesty, i cienie się wlekły,  
Jak gdy wiatr wionie w pustki ogrodowe,  
Gdzie skwary pierwszej paliły i siekły -  
Lecz, miecąc liście, nie odziewa w nowe.

## IX

Gdy Pretor z konia zsiadł, już przedtem nieco  
Po obu stronach perystylu stały  
Gwardie w lamparcich skórach i co świecą  
Łuskami; od tych wprost na polot strzały  
Szeroko widzisz schody, gdzie trybuna  
I złoty posąg cezarski, świecący,  
Jak w mroku rannym pożarowa łuna.

Tam - poczet pieszy, po stopniach rosnący,  
Wkraczał, trzech wiodąc oskarżonych ludzi

O zbrodnię, która lud do buntu budzi.

Po krzykach: „W prawo! w lewo!” - i po owym  
To tu, to owdzie ciągnął się tłum,  
Które zdaje się ciałem tym zbiorowym  
Miotać, jak wielką rzeczą bez rozumu,  
Stało się wreszcie, iż masa ta cała,  
Od wierzchu schodów do schodów podnóża,  
Usadowiła się i wyglądała  
Jak zawieszona płachta jaka duża,  
Z rozlicznej barwy okrawek zszywana,  
Do wietrzonego podobna dywana.

Prócz osób głównych, nikt z tych, co tam biegli,  
Przy towarzyszu drogi się nie wstrzymał,  
Jedni się z dala zaledwo spostrzegli -  
Drugi dojść nie mógł, gdzie chciał, lecz się zżymał  
Na wrywany mu z rąk rąbek togi,  
Którym się druha i rozmowy trzymał;  
Inny szedł z tłumem, zdawszy się na bogi.

Syn Aleksandra poczuł tuż przy sobie  
Kolumny ocios i wsparł ręce obie -  
I blisko rdzeni będąc, słuchał sprawy.

Barchob, Jazona uczeń, stał daleko,  
Lecz rzucał okiem nie bez pewnej wprawy,  
A okiem zimnym: tak rzemieślnik wieko  
Trumny ogląda i dwie strony mierzy,

By trafnie oddać, co której należy.  
Tak czyni jeszcze i posłannik, który  
Ma zdać rachunek z liczby i natury,  
I położenia rzeczy; ale przeto  
Tyle jest wierny, ile oddalony,  
I wie, **co to jest? o ile? i gdzie to?-**  
Lecz w tym nie będąc, jednej tylko strony  
Nie zna: ta właśnie jest rzeczy zaletą!

Gramatyk nie sam stał, po jednej stronie  
Kupca fig, z drugiej mając gladiatora -  
I coraz zdawał się pokłaniać skronie  
W prawo, to w lewo - jak osoba chora,  
Lub niemy, kiedy mówić chce o zgonie.  
Pisarz te słowa jął czytać:

„Zaiste,  
Ze świąt jeżeli które uroczyste  
W obliczu prawa, to cesarskie święto;  
Mąż, co tu stoi tak, jak go ujęto,  
Jak świadczą starzy, znający go z bliska,  
Nazwiskiem **Quidam**, że nie miał nazwiska,  
Potem zaś przezwan **Gwido** - mąż zuchwały,  
I czeladnicy jego - gdy wieczorem  
Wieńce i lampy, naznaczonym wzorem,  
W każdym się oknie rzymskim kołysały,  
Nie tylko w tejże nie uszczknął radości\*,  
Lecz wyznał głośno, iż gorszyć to może

Chrześcijan słabszych, co w niewiadomości  
Są, jak Cezarskie rozdzielić i Boże?”

„Świadcze!” - odezwał się Pretor do grupy  
Szpiegów i świadków, stojących pod słupy,  
Do pół okrytych cieniem, w sposób taki,  
W jaki się nocne kryć umieją ptaki,  
Skoro je światło południa zaskoczy:  
Że głos ich słysząc, nie widzisz osoby,  
Osobę widząc, widzisz ją po oczy  
I mógłbyś deptać, nie wiedząc - jak groby! -  
Jeden z tych - gdy się wszyscy odezwali  
Porządkiem, jakim w cieniu owym stali:  
„Świadczymy!” - prawil:

„A ja oto właśnie  
U siebie - biednym będąc - lampy cztery  
Gdy zapaliłem, patrzę - jedna gaśnie!  
Zgroza! - Gdyż cztery miały być litery,  
Wyobrażone lampami czterema -  
*Tandem*, łzy w oczach mając, szukam grosza,  
By nową kupić lampę - grosza nie ma!  
*Tandem*, cóż, mówić chciałem - ten jest Gwido  
Ogrodnik, który coś składał do kosza,  
Przed drzwiami domu stojąc - gdy ci sami  
Dwaj drudzy, uczniu jego, właśnie idą,  
Idą i mówią sobie coś czasami.  
- Tu ja, że widzę drzwi nieozdobione  
I ciemność: lampy że nie zapalone -

Nuż wołać, dalej przestrzegać, zaklinać -  
I jak brzmi słowo, czytane wybornie,  
Stało się - bowiem nie chcę już wspominać -  
Przed Bóstwem raczej padając pokornie.”

To rzekł i upadł, a za nim i owi,  
Co mu świadczyli, świadkowie świadkowi.

Upadek taki kapłan Jowiszowy  
Widząc, garść mirry w kadzielnicę rzucił;  
Toż czynił Pretor - i inny, i owy,  
A każdy ściągał twarz, jakby się smucił,  
Lub głową wstrząsał, lub ręce zakładał,  
Jakby się ludziom na migi spowiadał,  
I szukał ruchem coraz mniej kłamanym,  
Aż znajdzie w sobie głos dość wiarogodny;  
Bo głos mniej może niż gest być udanym,  
I stąd mniej skory jest i mniej wygodny,  
I musi w kłamstwo pierw zagać ruchem  
Drugich, aż tego się nazbiera wiele -  
Wtedy zaś zwie się już **ogółu duchem**,  
Wyrazem myśli w tym zbiorowym ciele,  
I już się nie zwie kłamstwem - lecz **organem**,  
Albo koniecznym ogniwnem tradycji,  
Albo przyjętym trybem nieskłamanym,  
Regulaminem mody lub policji -  
W sposób iż człowiek kłamiący tam będzie  
Przez porównanie białym jak łabędzie;

Dlatego właśnie, iż możność zachował  
Zbłądzić - i oną wszech-prawość zepsował.

Na tak niejasne stąd patrząc budowy,  
Zrozumiesz łatwo, co w nich człek wywoła  
Zacny, cieniować gdy nie będzie mowy,  
Przez miłość Prawdy wiecznego Kościoła;  
Albo do tegoż o ile się zbliży  
Prostak, mów swoich nie ważący zgola,  
Dla ludzi patrzeć nienawykłych wyżej  
Równy boleścią bólom apostoła -  
Acz ów **zuchwalec** przy **wyznawcy** stanie,  
Często toż samo cierpiąc katowanie,  
Dlatego tylko, by widziane było,  
Pokąd człek może własną dotrwać siłą -  
Lub aby świadczył, gdy inni kląć poczną,  
Aż oba w raję wieczerzać odpoczną.

Ta to różnica **męczeństwa i wojny**,  
Że pierwsze, dając krew, jeszcze ją daje  
Zmnożoną przez to, co dawca spokojny  
Czyni, okrzętne łącząc obyczaje  
Do datku swego - i kruszynę chleba  
**Tam, tak i wtedy** daje, jako trzeba.  
Daje tym samym krew swą - więcej sobą,  
**Do szczętu siebie** dotrwając osobą,  
Więc po-nad-śmiertną oblócząc już siłę,  
Co zwija topór jak kartę u księgi

Znanej - na skrzypców smyk zamienia **piłę**,  
A w nierozwity róży pąk **obcęgi**.

I jeśli dziwno, że w wrzącej oliwie  
Jan święty krzepciej niż przed męką żywie,  
To w mniejszym stopniu toż samo zjawisko  
Jest ci zwyczajnym i znajomym blisko,  
Gdy obok stawisz mściwego człowieka  
I tego, który przebacza, a czeka,  
Aż chwila przyjdzie, że przeciwność, w sobie  
Zniósłszy się sama, do stóp padnie tobie.

„**Gwido** - rzekł Pretor - wstręt ofiarowania  
Bóstwu, tym więcej winę twą odsłania -  
Mów!”

„Za człowiekiem, szpiegiem, co przed chwilą  
Padł na kolana, widzę wasze głowy,  
Sędziowie moi! jak nie mniej się chylą;  
Mąż ten podchwycił was gestem, mnie - słowy.  
Nikt z was nie wierzy w Bóstwo Cezarowe,  
Bo Cezar nie jest też od Apollina,  
Jowisza, Bacha, roślejszym o głowę -  
A ci że byli ludźmi, nie nowina!  
- Jakoż, bez Boga będąc, szukacie go  
W wyższości męża tego, to owego;  
I stąd zaiste mam ja dla was litość.  
Wszakże bez granic mieć jej nie mam prawa,  
Bom nie jest **pierwszy** i znam przyzwoitość;

Mam wzgląd na wszystkich, których jest ma sprawa  
Na tych, co byli przede mną sądzeni,  
I tych, co będą, i tych, co są może  
Tu gdzieś wśród ciżby ludu utuleni,  
Jeśli zrządzenie ich powoła Boże.”

To mówiąc, pojrzał z tym skapstwem anioła,  
Z jakim chleb łamiąc w ubogiej rodzime,  
Ogląda ojciec, żali co nie ginie,  
Im chętniej dając, uważniej dokoła - -

„Jakoż czci Boskiej nie dam posągowi,  
Przez który kłamstwo wasze się stanowi,  
I strząsam szaty, nie iżbym Cesarza  
Klął albo zniżał, jak indziej się zdarza,  
Lecz że go **cenię**. Wy, co wart, nie wiecie:  
Wy uwielbiacie, cenić nie umiecie,  
A że sprzed serca Boga wam zakryto,  
Zowiecie Bogiem wszelkie *incognito*.”

„Na klęczki!” - Pretor głosem wrzasł takowym,  
Jakim się sprawia szyk w polu bojowym -  
Aż poszła cisza po rzeszy szeroko,  
Jak po jeziorze nagła wiatru zmiana;  
Aż w poczcie gwardii jękło coś głęboko,  
Szablica jakaś spadła odpasana,  
Czy trąby dwie się przypadkiem gdzie zbodły,  
Czy głos tak dzielny był, a tłum tak podły.  
„Czekaj! bom w ustach nie miał nic trzy doby -

Ja i te zacne dwie ze mną osoby,  
A głos masz silny przez sytość i wprawę  
W komendę - czekaj, niech zakończę sprawę.”

To mówiąc, Gwido chwiał się i był blady,  
Jak gdyby mówił: „czczo-mi” - lecz pozierał  
Na dwóch, co za nim stali, jak na ślady.  
- Gdy ktoś, co dotąd o głaz się opierał  
Przy jednej z kolumn, rzucił trzos i skinał,  
Wołając: „Chleba! - hej - po trzykroć płacę!” -  
Co rzekłszy, tak się w togi zwój owinał,  
Że wraz skoczyli ludzie i, na tacę  
Włożywszy chleby, ponieśli mu w górę,  
Bacząc szlachetną postać i naturę.

Syn Aleksandra rzekł: „Ci ludzie, trzy dni  
Nie jadłszy, omdleć mogą w osłabieniu,  
Widzę to. „ - „Ktoś jest?” - szpieg zawoła z cieniu.  
„Doktor!” - krzyknęło trzech, a byli zgodni,  
Że posądziłbyś o wczesną umowę -  
I - tu dwa kłamstwa stały w przesileniu:  
Oskarżające i to, **co w natchnieniu**  
**Współ-miłosierdzia** tchnęło trzech - ludowe.  
Tamto formalne, to nieobmyślane,  
Jak grom, co, nie wiesz, w którą wytnie stronę.

Gwido: „Bóg zapłać” - rzekł, gdy współ-skarżeni  
Poczęli chleb jeść, a tak cicho było,  
Że i najwięcej środka oddaleni

Słyszeli dziękę, jakby się im śniło,  
Że tuż przy **Quidam** stali w onej dobie,  
Bo ciszej było tam, niż bywa w grobie.

„Teraz - tak kończył Gwido - **już się stało**.  
- Teraz, jakkolwiek broniłbym tej sprawy,  
Nie uwolnicie nas - znam, bez obawy;  
Więc posilone, jak jest, weźcie ciało;  
Bo nie zniżyłem prawd przez ich oprawy,  
Ni przez zuchwalstwo na szwank naraziłem;  
Ni wywołałem nawet urągania,  
Ni znikłem, marnym uznawszy się pyłem!  
A to są sprawy nie do wybaczenia!”

-----

„Dosyć!” - zawołał z krzesła wstając Pretor  
I, dwakroć spluwszy, rzekł: „Ja tam nie retor.”

\* Za panowania Adriana męczeństwa były rzadkie, ale **męczeństwo** trwało tym uciążliwiej, że właśnie pomiatano sprawami tymi, na policyjne je zamieniając kwestie. - Podobnych, o lampy, wiele spraw było, tym ważniejszych dla prawdy, iż te iluminacje zamieniały z czasem **drzwi na bogi!** Z tego zaś względu, iż męczeństwo w całej swojej wojennej ostrości nie wywoływane było, boleści dla prawdy były tym sroższe, że bezjawne i wielkiej wymagające baczności. - Co do właściwego znaczenia odpowiedzi Zbawiciela: „**Oddajcie co Cezara Cezarowi, a co Boskiego Bogu**” - ta przez Ojców Kościoła objaśnianą jest w apologiach, acz wystarczy nam dodać tylko: że zapytanie, które ją wywołało, należy do tych, **które nigdy nie powinny były mieć miejsca**, powiedziane jest albowiem, iż **Faryzeusz, kusząc Chrystusa Pana, zapytywał.**

## X

Gdy w jedną stronę błysnął rząd pancerzy,  
A w drugą - sądom wyższym odroczonech

Poprowadzono **trzech**, by zamknąć w wieży,  
Tłum się ze schodów stoczył wywyższonych,  
Od góry z wolna próżniejących z ludu,  
Co zszedł się czekać krwi, buntu lub cudu.  
Które z tych zjawisk wysłannik Jazona  
Przyszedł tu znaleźć - rzecz nieodgadniona.  
Barchob, z Judei rodem, nie Chrześcijanin,  
Ani polityk, a tym mniej poganin,  
Wymowy także oratorskiej zwrotów  
Unikający, jak wstrętnych kłopotów;  
Milczący szczelnie lub dwoistej treści  
Słówkiem słuchane cechujący wieści;  
Patrzący chwilę na postać człowieka,  
Gdy odpowiedzi ten od niego czeka;  
Niekiedy oczy, dokoła czerwone,  
Uchylający w tę lub ową stronę;  
Prońlem piękny, postawą wątpliwy,  
Zakłęty zda się w mistrza swego ruchy;  
Na cień zza Styksu może zbyt lękliwy,  
Na męża nazbyt przejrzysty - jak duchy.  
Pytania takie szybko przechodziły  
Przez Aleksandra z Epiru ciekawość,  
Gdy szedł z Barchobem, który dwoił siły,  
Przez towarzysza pociągany zwawość,  
I czuł się z zwykłych gestów wrywany  
Powolnych - gestów może Mistrza-Maga.

„Nie znałeś Gwida? - „

„Gdyby mi był znany,

Byłbym z nim.”

„Słuszna zdaje się uwaga,

I przeto rzekłem ci: „**Nie znałeś Gwida**”-

A nie: „Czy znałeś Gwida ?” - zapytałem.”

Syn Aleksandra wstrzymał się jak dzida,

Kiedy osadzisz konia w pędzie całym,

Wzdrygnięta naprzód i w tył -

„Czy nie będzie

Za późno Mistrza odwiedzić Jazona ?”

„Gotów jest, mniemam, i zawsze, i wszędzie

Przyjąć „ - co mówiąc, otrząsnął ramiona

I wskazał ręką od Tytusa Łuku

Na bok, acz droga dłuższa i bez bruku\*,

Dodawszy:

„Zwyczaj mam unikać huku.”

„Służę!” - towarzysz odparł mu i w cieniu

Drzew szli powolniej. Czas był ku-zachodni,

Jasny, że czytać mógłbyś najwygodniej;

Lecz czerwieniały już w słońca promieniu

Rzeczy, które są ostro rysowane:

Amfiteatru szerokie profile,

Trzy piętra łuków z głazu wyciosane,

Wnijścia do arkad zwężlonych zawile.

Rzadko kto śpieszył ku Kapitolowi,

Tam i sam raczej błędząc, jako w porze,

W której cel ruchu odda się ruchowi,

A myśl i mowę, **że pięknie na dworze** - -  
Usposobienie to każdego ima,  
Kto, w rytm idących tak wszedłszy, takt trzyma.

Tak więc wiódł Barchob z Epiru młodziana,  
Gdy nagle spotkał kobietę podżyłą,  
Służebną - ile z tego, jak odziana,  
I z kosza w rękę wnosić można było,  
A Egipcjanekę - co wraz poznać z cery  
I z ust, lecz pierwej z ruchów bez maniery,  
Uspokojonych abnegacją pewną,  
Dziwną - że wzięwszy się, by kosz postawić  
Lub wzniesć, mniemałbyś, iż ma błogosławić,  
I że - udając służę - jest królewną.  
Tę piękność wszakże, co z przetartej szaty  
Wyzierać zwykła, mijał Rzym bogaty,  
A retor, fałszerz daru i uczucia,  
Krył ją w misternie kwiecione zepsucia -  
I ledwo dostrzegł jaki Grek - atoli  
Grek, gdy postradał Grecję, więc, co boli,  
Nie mając ziemi, zna, że gdy brak **kraju**,  
**Ojczyzna** dwakroć większa, sięga raj! -  
Rzym w estetyce był już, jak za wiele  
Wieków Galowie w błotach swych być mają,  
Albo Anglowie - gdy przypuszczę śmieie,  
Że ci na przykład świata ster trzymają,  
I tworzą sobie Rzymy jakie nowe,  
I smak, i piękność wedle siebie głoszą,  
Nie dramatyczną - lecz bóstwo jałowe,

W którym nie chodzą żywi - które noszą  
Jak *fasces* - słowem coś, co jest niezdrowe.

O barbarzyńcach tych młodzian tak marzył,  
Gdy Barchob mówił z niewiastą znajomą,  
Aż nagle, patrząc w kosz, jak kwiat się zwarzył  
Owiany szronem, i tak nieruchomo  
Patrzył, jak gdyby dno kosza niejasne  
Czytał - zaiste, czytał: **pisma-własne!**

-----

\* Przez łuk tryumfalny Tytusa, po zburzeniu Jerozolimy zbudowany. Żydzi patrioci przechodzić nie lubili

## XI

Przez bramę miasta, przez winnic kwadraty,  
Furtki owiane w roślin aromaty,  
Którym bluszcz służy jak zwiewna zasłona,  
Strzegą zaś ręką nie sadzone kwiaty -  
Przechodzić trzeba do Mistrza Jazona.  
Nareszcie, skutkiem tej różnaitości,  
**Dziwniej niż prędzej**, stoisz tuż przy murze,  
W który się schody zanoszą nieduże  
I wisi młotek brązowy, w kształt kości,  
Zerdzony spodem, od wierzchu świecący,  
Że go gość każdy oczyszcza niechęcący.  
Tym raz uderzasz, i wchodzisz w ciemnicę,  
Bo dalszy schodów ciąg od furty pnie się  
Nie już do domu, lecz znów na ulicę

Wyższą tarasu; ten jest, jako w lesie,  
Sosn włoskich rudą kępą ocieniony -  
I jak sznur prostą ścieżką przekreślony.

Za tej zaś ścieżki końcem, widnym oku,  
Nie sterczą mury domu na obłoku,  
Lecz tak się miesza wzrok wśród drzewnych alej,  
Że iść tam musisz, by wiedzieć, co dalej -  
Ścieżka ta bowiem, od samej połowy,  
Dwie strony mając, jak leśne parowy,  
Coraz się głębiej wrzyna w gaj sosnowy,  
I coraz gęściej starym świeci brukiem,  
Z fragmentów różnych złożonym jak smętarz:  
Ten, że był urną - owy może łukiem,  
Ten sarkofagiem, biustem - ów, pamiętasz,  
Że gdzieś w frontonie świątyni ma brata,  
A wszystkie dobrze zrównane i w skazie  
Każdej otkane mchem - z dala - jak krata  
Zielono-złota leżącym na głazie.

To - już podwórzec; dalej - zwykłym wzorem -  
Domostwo, tylko że zawsze otworem.

-----

Barchob był może gdzie w drogi połowie,  
A Egipcjanka w domu swojej pani,  
Kiedy Mistrz Jazon Zofii badał zdrowie,  
Czy horoskopy składał jej lub dla niej,  
Artemidora zostawiwszy w sali

Niższej, gdzie mnogich rękopismów wstęgi  
Leżały w wazach, i kompasów kręgi  
Ryte, i zodiak, i bogowie stali.  
Fontanna w środku niska, z brązu lana,  
**Z gipsu popiersie nad nią Adryjana.**

Drzwi do tej sali, będąc otworzone,  
Przysionku wewnątrz odsłaniały oku;  
Drzwi od przysionka niemniej inną stronę  
Podwórza w ramy swe, na kształt obłoku,  
Obejmowały - a światło, złamane  
Po dwakroć, biło prosto na fontannę.

Tam Artemidor siedząc, niewesoło  
Poglądał, jako osoba znudzona,  
Na ogół rzeczy leżących wokoło  
I słuchał wody kroplistego grona,  
Rozperlanego wciąż w brązową wannę  
Przez łkania swoje i łzy nieustanne.

Czy Mag na górze z Zofią był podobnie,  
Jak ten z fontanny szmerem, zatrudniony?  
Nie wiem. Czy pani mówiąca ozdobnie  
O drobnych rzeczach z nie znanej mu strony,  
O drobnych czuciach niezmiernie żalobnie,  
O głównych prawdach często, lecz z ich strony  
Kolorowanej przez tychże opony -  
Czy pani przy tym dziwnie ujmująca  
Wdziękiem, co blado promienił jej z czoła,

Jako Dyjannie grzebień pół-miesiąca,  
Czy, mówię. Maga obchodzi? lub zgoła? -  
Nie wiem. - Wszelako Mistrz Jazon miał drobne  
Słabostki, z dala patrząc, niepodobne  
Do solenności, w którą się oblóczył.  
Baczył na przykład, żeby wzgląd na stopnie  
Ceremoniału chować, i jak? - uczył,  
Domawiać lubiąc słowo to: „**roztropnie**”.  
Świat oficjalny nie był mu przeciwnym;  
Owszem, powoli ocierając czoło,  
Zwykł był nazywać go „cale naiwnym”.  
- Gdy mówił: „Cesarz”, nie patrzył wokoło,  
Jak augurowie i filozofowie,  
Lecz palcem krymki dotykał na głowie  
I mówił głosem - co wielu baczyło -  
Takim jak Cesarz mawiał, z taką siłą:  
Acz w tym najmniejszej przysady nie było.  
Filolog wielki! greckiego zażywał  
Z Rzymiany, nie dość wyznając się wprawnym  
W łatyńską mowę; gdy ucznia przyzywał,  
Z fenicka mawiał doń lub innym dawnym  
Językiem, pełnym szeptań i przydechów.  
Chrześcjan - znał mało, lub gdy mawiał z niemi,  
To o lekarskiej sztuce, płodach ziemi,  
Też jak z niewiasty - nie stronił i śmiechów! -  
Dziwny mąż! - Cesarz, że był wiedzy chciwy,  
Znał go lub wiedział, kto jest ów sędziwy,  
Ze swoją laską włóczyący się długą,  
I Charonowym nazywał go sługą.

- Mistrze stopniami byli z nim w stosunku,  
I mnóstwo osób znało - tak - z trafunku.  
Wędrowni męże z za **wielkiego-morza**,  
Biedni - mówili, że jest: **ręka Boża**,  
I nieraz ciche widziałeś osoby  
Przed perystylem Magowego domu,  
Na grobów ziarnkach siedzące jak groby,  
Obce w stolicy, nie znane nikomu,  
Łokciami wrosłe do kolan od brody -  
Gdzieś spętanego narodu - rapsody.  
Niejeden leżał tak w blasku księżyca,  
Na nocne mało uważając chłody,  
Pod murem, inny w kuczkę, jak kotwica,  
Zwił się, i słońca przeliczał zachody.

Mistrz Artemidor - kto znał go już bliżej -  
**Szersze** od Maga wykładał pomysły.  
Natchniony nawet bywał, lecz nie ścisły,  
I niewątpliwie, że wszystko brał **niżej**;  
Acz, potracony Jazona milczeniem  
Lub wątpliwością dziwnie wyrażoną,  
Wzbierał - i takim porywał natchnieniem  
Orlim, że słuchacz z żadną nie stał stroną  
I, gdzie przechylić się, nie wiedział wcale,  
Co Jazon zwykł był zwać: „**nie-nowe ale - -**”  
Mędrców tych bliżej badając dwoistość:  
Wzniosłość - Koryntczyk znal. Mag - uroczystość,  
I była jedna między nimi strona  
Nieprzełomliwa, jak czasów wyroki,

Wyczerpniętymi słowy naznaczona -  
Po czym w dwie strony obracali kroki,  
Milcząc - a znali tak ową granicę  
Czuciem, jak mało wiedzieli, czym ona?  
- Gmin w tym dwóch mędrców widział tajemnicę,  
Która ich łączy w jednego olbrzyma,  
Głów mającego dwie, cztery ramiona;  
I myśląc, że to w jedności ich trzyma,  
Co rozpychało ich lub rozdzielało,  
Zbliżoną napaść za jedno brał ciało.

Schodząc Mag z Zofią, te jej mówił słowa:  
„Niewiasto zacna - to tak - w tej już chwili,  
Mniemam, że lepiej czujesz się - żeś zdrowa;  
Nie iżbym odjąć mógł - jak to robili  
Dla innych inni - niemoc wyższą mocą;  
Bo nie ten **przedmiot** spotykam przed sobą.”

„Zaiste - przyszłam, jakby czując, po co” -  
Odrzekła Zofia -

„Inną może dobą -  
Mistrz Jazon mówił - o księżycu nowiu  
Dano mi będzie znać o pełnym zdrowiu -  
Dasz mi znać.”

„Jako? - przyjdę? - czy Barchoba,  
Czy ciebie. Mistrzu, w progach mych zobaczę?”

„Rzecz jest, rzecz będzie, nie ma być osoba?”

- A potem dodał zimno: „I ja raczę

O kiju przywlec się, gdy przyjdzie pora.”

Tu zaś obrócił się do Artemidora,

Dla dwojga razem grzeczność dając jedną,

I wspomniał: „Wiele niech nie czyta chora -

Szkoda, że stare rękopisma rzedną.

Dobrze jest miewać wzgląd na autora,

Kiedy się czyta - cóż za rzecz przedziwna

Czytanie! - jako gałązka oliwna

Lub migdałowy kwiat.”

Koryntczyk rzecze;

„W tym względzie panią, ile mogę, lecę.”

A Jazon dalej: „Kiedyś, wchodzi do mnie

Osoba, oczów prawie pozbawiona,

Ból swój i żalność wyrażając skromnie;

Za nią tuż - lektor, głos mający równy,

Czysty jak woda dobrze przecedzona,

Nie wiem, czy taki, czy inny jak ona.

- Ten, choć niósł pisma w torbie, nie był główny,

Bo dalej jeszcze szedł autor tych rzeczy.

Dnia tego, tyle mając do przyjęcia

Osób, nie mogłem dosyć mieć na pieczy,

Ile dać kropel - jakie owinięcia? -

Nie wiem, co z tego będzie? - czasem doba

Przeszkodzi, czasem przeszkodzi osoba,

Czasem - „

Koryncki mistrz poprawił togi,  
A Zofia w czoło patrzyła Magowi.

„Czasem - do siebie mają to i **progi** -  
Czasem wszystkiego człowiek i nie powić,  
Co miał powiedzieć, i zgadywać trzeba,  
**Jakiego komu dać o ile chleba-**”

To mówiąc z wolna, przerywanym głosem,  
Poglądał w ziemię, i gładząc siwiznę,  
Coraz to rzucił wyplątany włos,  
A usta, jako gojącą się bliznę,  
Pogodnie zwijał i od brwi falami  
Do góry zmarszczki mnogie podejmował,  
I zamilkł. Strząsnął potem raz palcami,  
Jakby zapomniał coś albo żałował -  
Akcent, co długo nie dał do myślenia,  
Czy się już wątek nowy nie wysnował?  
Tak - iż koryncki Mistrz, bez omówienia  
Ku drzwiom pojrzawszy, najprzód wstał z siedzenia.

Skąd Jazon wiedział, że Zofia doń niosła  
Rękopism owy, dziwnie znaleziony?  
Skąd? - że i autor nie był oddalony -  
Bo szedł z Barchobem - ciekawość choć rosła  
Nieraz w słuchaczu takich Maga gadek,  
Nikt tego jednak wybadać nie umiał,  
Lub szukał w sobie - czyli je zrozumiał? -  
Czy nie trafiło się to przez przypadek? -

Wszelako słowa te: „**Osoba ciemna,**  
Za nią jej lektor z rękopismem - dalej  
**I autor tegoż**” - jako nieprzyjemna  
Wieść brzmiały Zofii, gdy przez gaj wracali.

## XII

Syn Aleksandra, słysząc z mów Barchoba,  
Kto była ona służebna osoba,  
Także, skąd niosła drobiazgi kobiece  
W koszu - skąd przez tę wracała ulicę -  
Milczał, lecz w sobie pamięcią przezierał,  
Co ów zwój, trafem zgubiony, zawierał?  
- I, choć z Barchobem rozmawiał potocznie,  
Wciąż miał zwój pisma własnego zaocznie,  
Które że było raczej pamiętnikiem  
Rzeczy i wrażeń nie dzielonych z nikim,  
Do swobodniejszych odroczonej czasów,  
Pełnym doraźnych skrótów i nawiasów -  
Dośledzić nie mógł lub nie czuł się w stanie  
Zgadnąć, co pism tych wywoła czytanie? -

W sposób, iż przedmiot, jednym odniechcieniem  
Zrzucony z stołu w drobiazgi doręczne,  
Jednym usłużnej ręki poruszeniem  
Podjęty z koszem tam i sam noszonym,  
Mógł się stać dwakroć większym zagadnieniem  
Niż najciekawsze z zapisanych w onym.

Tak więc szli k'sobie, tym samym sposobem,  
Z Artemidorem Zofia od Jazona -  
I Aleksandra syn tamże z Barchobem:  
Ci różniej - tamta opieszalej strona.

Zofia, swobodniej czując się na sile,  
Przez ciemną sosen włoskich kolumnadę  
Idąc, mówiła: „Wszelką Maga radę  
Zebrać by można w **o tyle, o ile**,  
W preceptę z liczby i z czasów wysnutą;  
Lecz słów misterstwo i określeń dłuto,  
I ta powagi całość skąd pochodzi? -  
Nie wiem! - z tym człowiek, mniemam, że się rodzi.”  
To mówiąc, kwiaty zrywała, lecz owe,  
Które się w parów schylając podłużny,  
Do rąk jej - czoła swe chyliły płowe,  
Jak smutne dzieci żebrzące jałmużny -  
I szła, co czyni, nie bacząc, lecz różniej -  
Gdy Artemidor wreszcie jej odpowie:  
„Jazon - tu przestał - jesteśmy w przyjaźni -  
Tu znowu przestał - wielu wraca zdrowiej  
Od Mistrza tego do siebie, lecz mało  
Z krystaliczniejszą myślą powracało -  
Tak - iż dwie z jednej idą stąd choroby:  
Choroba myśli gościa lub osoby -  
I dwóch Jazonów w mieście by się zdało  
Na dwóch kończynach wielkiej czasów strugi,  
Co jest jak Tyber -”

„Tyś jest Jazon drugi” -

Odrzekła Zofia - -

„Pani - Mistrz jej zada -

Jeśli zgadujesz rzeczy za-styksowe,

Któż sama jesteś?”

„Wyobrażam **sowę**,

Zwłaszcza iż słońce właśnie że zapada;

I będę mówić ci o każdym z ludzi.

Którego spotkam: **czym lub kim** się zbudzi.”\*

Tu się ku furtce tarasu zbliżali,

Lecz ta skrzypnęła prędszym ruchem od nich.

I w ramie onej, na łunie z opali,

Wśród błąkających się blasków zachodnich,

Dwa kształty rosły mężów dwóch przychodnich.

„**Któż jest ten pierwszy Quidam?**” - rzekł do Pani

Towarzysz, dalej prowadząc rozmowę,

Gdy wraz zbliżyli się wzajem poznani,

A Aleksandra syn rzekł: „**Poniósł głowę**

**Pod topór może.**” - „Co to znaczy? -

Kto?” - i przez chwilę trudno zgadnąć było,

Co pozdrowienie takie zagaiło,

Co ten a owy w słowie *quidam* baczy,

Co Zofia słyszy, co Barchob rozumie,

Co Artemidor - czworo - lecz jak w tłumie.

Jeden więc płochy żart myśli niewieściej,  
Niedosłyszenie jedno, i nazwisko  
Męża - co świeżo oddan jest boleści,  
Zrobiły zamęt, który stał już blisko  
Sprzeczek, albowiem pomieszał powagi,  
O ile prawdy nie znosiły nagiej.

Mistrz Artemidor czuł się może nieco  
Wypartym z blasków, co jak Febu świecą,  
Czyniąc go zawsze stojącym wspaniale,  
Utwierdzonego na słonecznym wozie  
W nieodpocziwej swej apoteozie.

Zofia też, którą, jak Safo na skale,  
Gmin przywykł mniemać wiszącą u liry  
Dłońmi, a rąbkiem ledwo szaty nikłej  
W nieodgarnięte zaplątaną zwiry -  
Czuła się w roli swej zachwianą zwykłej.

Barchob pojmować nie mógł, że wypadek  
Może mieć miejsce - a jego towarzysz  
Stał jako powód sprawy i jak świadek -  
Co, jeśli dobrze, jak zaszło tu, zważysz  
I zwiększysz w postać takiego ogromu  
Jak Rzym - odpomnisz niejasne powieści  
O Chrześcijanach, iż są plagą domu,  
Który ich ciche osoby pomieści;  
Tudzież o znaku **linii dwóch przeciętych**,  
Co tych przeklętych strzeże czy tych świętych;

O cieniach zmarłych i nazwisk ich sile  
Takiej, że wzmianka sama robi tyle -  
Tyle niesmaku i roz-społecznienia,  
Dla jednej **nazwy** - mniej: dla **nazwy cienia!**

-----

Tak się i stało - przy onym spotkaniu,  
Gdzie wyraz: *quidam*, ład pomieszał cały,  
Aż po stopniowym myłki sprostowaniu  
Postacie w formy dawne powracały,  
Tylko zbliżone lekkim przypomnieniem,  
Że jednym błędem je raz ogarnął cieniem.  
Więc - zapewniwszy, że się od-zobaczą,  
Do miasta jedni szli, drudzy do Maga,  
Lecz Zofia odtąd zgadywać się wzdraga,  
Kto są przechodni ludzie i co znaczą  
Tam, gdzie wszech-duchów zawisnęła waga.

\* Żart ten odnosi się do mniemania Pitagorejczyków o przechodzeniu dusz.

### XIII

To już dwa wieki od Grecji pogrzebu,  
Gdy biały duch jej podniósł się ku niebu  
W szlaki dokonań, dzielone na stacje  
Gwiazdami dziejów, między konstelacje:  
I stał tam z lirą w przestronnym lazurze,  
Na resztę dziatwy patrząc rozproszonej,  
Co tu i owdzie, przy pękłym marmurze  
Stojąc, liczyła tryumfy i zgony -  
I czekał, jako narody zabyte,

Aż wszystko będzie do szczętu spożyte -  
Aż Grek ostatni przymiotem lub winą  
Zginie, i myśli same się rozwiną,  
Wpisując w teżę porządek litery,  
Ile są wieczne - Greków drugiej sfery,  
Zrodzonych może u krańców Północy\*,  
Co, jak rodzeństwo, zbiegną ku pomocy.

Rzym wtedy swym się Adryjanem cieszył,  
Mniej bacząc, co się między gwiazdy działo,  
Sto razy na dzień bok duchowi przeszył  
Greckiemu rzymski, w swe go strojąc dało;  
Lecz najswobodniej męźniał sam w tej sile,  
Co, wolna marzeń, sypia na mogile;  
Sile wyższego coś mającej może,  
Lecz przez zakryte jej widoki Boże.

Więc rzymski szlachcic jeszcze rad był Greka  
W biblijotece chować, gwoli rzeczy  
Piśmiennej, która wolnej chwili czeka,  
Albo z ckliwości w dni deszczowe leczy.  
I słuchał bajek spisanych w Homerze,  
Tak - jak komedii przeciw-sokratejskiej,  
Dowcipnej, że aż śmiech nieledwo bierze;  
Lub stawiać łaźnię, czy ratusz gdzie miejski,  
Grekowi radził zmieniać kapitele  
Kolumn- **ten, środki że znał - a ów cele.**

Greki przeto młodzi prawili o Sokracie,  
Myśląc o rzymskich podatków zapłacie,  
Lub tryumfalny stawiając łuk - - kolumny  
Przepraszał w sercu, i dłuta czuł zgrzyty,  
Gdy duch mu Grecji szeptał: „Nie bądź dumny,  
Lecz cierp - ulecisz za mną na błękity.  
Tyś mistrzem ziemi tej - a Tybru glinę  
Na posąg w ręce wziąłeś - nie zaginę!”  
- Inny - syrenę tę, z pół-rybim ciałem,  
Bez wrzących pulsów, odepchnął daleko,  
Idąc - za coraz nowym ideałem  
Coraz nowego mistrza; co ci rzeką?  
Posłyszeć - chwilę rozgorzeć - „**Skonałem -  
Wstałem**” - zanucić radośnie, lub w dobie  
Trudnej z Zenonem\*\* pomyśleć o grobie –

Nie był to wszakże czas rzymskiej potęgi,  
Bo już Rzymianin znał się, że **realny**,  
I zapisował porządnie do księgi  
Edykt ten albo ów **perpetualny**,  
Ciesząc się więcej edyktów porządkiem  
Niż rządem - najmniej ciesząc się ich wątkiem.  
Niewolnik chyba lżej posuwał kroku,  
Czując, że ręką ktoś go wiedzie w mroku;  
Lecz zali Cesarz to był? lub właściciel? -  
Nie znał - i wietrzył - jak spóźniony mściciel.

Żyd - milczał w izbach zawartych jak trumny;  
Chrześcjanin zniknął, lecz jawnie i w czynie,

Jako - przy świetle kagańca - kolumny  
Też same zawsze, czy je olśniesz, czy nie - -

A jako bywa wśród ległych ogromów  
Myśli lub ciała, że w proch się trą nikły -  
Tak już rozgłośnie **systemy-atomów**  
Brzmiały: te zawsze jedno znaczyć zwykły! -  
Znaczyć - co znaczy na zimnej miednicy  
Popiół, gdy mirry braknie w kadzielnicy.

\*

Ci, co wchodzili do Mistrza Jazona,  
Ujrzeni rękę jego wyciągniętą  
Na znak, by siedli. - Lampa zapalona  
Przeciw fontannie płomień niosła kreto,  
A blaski onej, rosą odkroplane,  
Drżącymi światły wbiegały na ścianę.

Mistrz siedział, nogi mając wzdłuż podane,  
Jak się na niskim spoczywa siedzeniu,  
Lecz nie odmienił nic w swym zamyśleniu,  
Tylko niekiedy dłoń podnosił k'czołu,  
Szerokim łokciem przypartą do stołu,  
Jak człek na pierścień gdy patrzy - lub mniema,  
Że czas już powstać, ale woli nie ma.  
Po chwili w stronę gościa wruszył głowę,  
Lecz do Barchoba wraz zatoczył lice,  
Mówiąc: „**Co zaszło?**”

„Zdarzenie mniej nowe  
Niż smutne” - odrzekł, patrząc, jak na świecę,  
Na wzrok Jazona, który nań promieni!  
„Chrześcjanin Gwido mówił - to i tyle” -  
Tu zmiłkł i blade lica zarumienił.

„Cóż oni **mówią?**” - Jazon rzekł powoli,  
Bez pytajnego akcentu, ni soli.  
„**Cóż?**” - odrzekł Barchob, jak echo gasnące -  
I była chwila ciszy, która boli  
Jak głośne kłamstwo, lub prawdy ginące  
W czasie, gdy wszystko mają, oprócz woli –

„Mówił - gość rzecz po niejkiej chwili -  
Że bogi więcej od Cesarza czczone,  
Jako Apollin i Bach, ludźmi byli -  
Że są prawdziwe rzeczy i zmyśłone -”

Kiedy to zdawał gość głosem nierównym,  
Mistrz Jazon, głowę uchylwszy w stronę,  
Słuchał, lecz widno sens mu nie był głównym  
Przedmiotem treści tak wypowiedzianej -  
Lecz słuchał, jakby kto? mówi sens znany.

I znów fontanny tylko łyzy perione  
Brzękły - czy Barchob cofnął się do ściany.

„Że są prawdziwe rzeczy i zmyśłone,  
Jest fałsz - i prawda” - Jazon zimno doda,

Patrzac, jak kropli sie w fontanne woda.

„Skad rodem jesteś?”

„Z gornego Epiru.”

„Szkoly? -

„Roznego zazywalem steru

I oto pismo mam Artemidora.”

Wzial je i, patrzac dookol sali,

Wyciagnal reke ku bazie Kastora

Z Polluksem - rzucil - i pojrzal, azali

Leglo? - jak czlowiek lekarstwo wazacy,

Niby roztropnie i niby niechcacy -

Potem rzekl:

„**Cesarz!** - jedrny glosem wcale -

Panuje mdrze nad szerokim krajem,

W ktorym sa ludy **jednym** zjete losem,

**Rozne i rozny** zywe obyczajem - -

Obyczaj jeden - trwa lat sześćset, trzysta;

Inny znów ośmset lat - człowiek nawzajem

Obyczajowi służy, jako może,

By przecie robil coś! acz jest **chwilowy**” -

To zaś litośnie poparł ruchem głowy -

„Więc trzeba cenić, gdy dziecię, **po wzorze**

**Piszac**, doklada i swój trud jałowy!”

-----

Tu przetarł włosy i sprysnął palcami,  
I rzekł: „Innego dnia będziemy sami -  
Teraz już późno.” - Wstał. - Barchob na strome  
Ku lampie miał się.

„Zrodzona w Sycjonie  
Czy w Knidos? - jest tu poetessa pewna:  
Grecja do siebie ma, że **była** śpiewna.”

Mówiąc to tonem żegnalnego słowa,  
Mistrz Jazon ginął w mroku wielkiej sali.  
Syn Aleksandra czekał, aż ta głowa  
Siwa, od lampy oświecona w dali,  
Zmierźnie i jako meteor się schowa;  
Potem - stał jeszcze, jakby słuchał nieco,  
Co zmówi powieść wody różańcowa,  
Skoro ją blaski księżycyca oświecą,  
Już nie łamane od ognia płomieni;  
A potem westchnął i wyszedł. - Noc była  
Widna; podwórzec usłany z kamieni  
Bielął, lecz w każdym pierwsza myśl odżyła,  
Skąd był? do czego złamkiem swym należał?  
I każdy z głązów tych, zdało się oku,  
Że przypominał się znajdować w tłoku  
Wstrzymany, ale nie ówdzie, gdzie biegał -  
Stąd niemy lament między tymi bruki  
Czułeś i różnych wyteżeń splątanie:  
Co Aleksandra syn baczył, jak wnuki,  
Gdy legend poczną skwapliwe czytanie,

Słyszac chód znany, szelesty i stuki,  
I nieuważne mieczów potrącanie,  
Takie, że - rzekłbyś - dziady szli ku tobie  
W miarę twojego zaczytania w treści,  
Lecz wstrzymywali się, chowając w grobie,  
Ilekróć brałeś rzecz ich za powieści,  
Lub zmianą ruchu wypocząłeś sobie.  
Szedł więc ostrożnie, jak wśród rzeczy żywych,  
Przez on podwórzec ku parowu jamie,  
Plamami cieniów pstrej od sosen krzywych,  
Wiodącej ścieżką swą ku znanej bramie;  
Tu - ówdzie - bacząc leżącego w ciszy  
Męża, co w śnie się przewraca lub dyszy,  
Albo półsennej modlitwy domawia,  
Płaszcz strząsa, kamień pod skronią poprawia.  
Ci wszakże goście senni - byli jemu  
Bynajmniej dziwem; każdy ich widywał  
I mijał - myśleń aby nie przerywał  
Lub snu, lub mowa ich że całe inna  
Od rzymskiej, albo że postawa gminna!

Syn Aleksandra, owszem, myślał raczej:  
„Oto tu Zofię spotkałem - tą drogą  
Szła - cóż pomyśli, skoro mię zobaczy? -  
Co mi odpowie i z jak wielką trwogą -  
O pamiętniku gdy wspomnę zgubionym?”  
Dalej - „**Jak wspomnę?**” - myślał jeszcze dalej  
Chwilę: „co było w pamiętniku onym,  
Że rad by przejrzeć go, że potem spali -

Acz wiele mógłby dopełnić miejscami.”  
I tu mu **Gwido** stanął przed oczami  
I **Mag**. - Postacie te mało podobne,  
Pamięci próbą nieco oddalone,  
Rozjęły mu się w kształty dwa, osobne:  
Wspomnienie Gwida, ściśle określone  
Czynem, w jasności dokonanym dziennej,  
Żywotny miało blask, bynajmniej senny;  
Szczegóły wszystkie dośrodkując **w czynie**,  
Po lada fraszce przypomnieć się dało,  
Jak chleb ten samy smak ma i w drobinie,  
Co w bułce - albo jak toż samo dało  
W ćwierciach na cyrku, gdy męka już minie -  
Wszakże, nie mając strony tajemniczej,  
Nikło jak **zwykły** fakt, bo **niezwodniczy!**  
- Wspomnienie Maga było, jak tych rzeczy  
Kosztownych, z miasta spalonego wziętych,  
Które dopełnia wzrok i patrząc leczy:  
Posągów takich gromami pociętych  
Nie zapominasz, jak roboty własnej,  
I jasny ci ich kształt, gdzie był niejasny,  
A ciemny ówdzie, gdzie w pełnej trwał sile;  
W sposób, że ileś włożył w nie, znasz tyle.  
Mistrz Artemidor w przeglądzie takowym  
Wspomnień mniej więcej został jednakowym;  
A Zofia coraz w myśli się wtrącała,  
Jak rzecz zgubiona, ciekawa, choć mała,  
Którą odnaleźć gdy się człek usadzi,  
Nie idzie o nią, lecz traf ją sprowadzi.

Tak marząc, nagle w pobocznym rozstępie  
Drzew ku księżycem olśnionej płaszczyźnie,  
Usłyszał łoskot - jak gdy skrzydło sępie  
Bije, jeżeli wąż się w gniazdo wśliźnie -  
Łoskot w przestanki porwany gniewliwe,  
A dalej słowa zgryzione namiętne,  
I znowu łoskot - jak w ciało nieżywe -  
I echa, tętno liczące po tętnie,  
Tępe jak kropel rzucanych po ścianie  
Spadki, lub suchej gałęzi trzaskanie.  
Tam więc skwapiwszy się, gdy patrzył chwilę,  
Ujrzał naprzeciw biustu Apollona  
Postać jakoby męża w wieku sile,  
Wzruszającego raz po raz ramiona,  
Tam i na powrót kroczącego gniewnie,  
Jak gdy kto swego fuka niewolnika  
Lub klnie, tylko że sługą był tu pewnie  
Kamienny bożek bez sił i języka.  
Tego więc plwając, pokoić się wracał  
On mąż i siadał chwilę na uboczy,  
I znów przypadał doń, pięściami macał,  
I milkł - i siadał znów - zakrywał oczy - -  
Scena ta, zwłaszcza przy świetle niepewnym,  
Zatrzymywała wzrok na chwilę długą,  
Uczuciem widza me przejmując rzewnym.  
Czasu, gdy nieraz krwi gorącej strugą  
Cucono rzesze na cyrku znudzone,  
A rzadki wierzył - i trza było może  
**Wierzyć**, by kopać wizerunki boże! -

Syn Aleksandra patrzył w stronę ową  
Długo, nie wiedząc równie, co to znaczy,  
Jak, co ma począć? - aż sam sobie mową  
Przerwie: „**Co to jest?!**” - i głośno zahaczy  
O tuż leżące suche drzewa łomy,  
Jakby ostrzegał: „**jest ktoś niewidomy.**”  
Czego gdy echo zabrzmiało dokoła,  
Znikał on smagacz, nie rzekłszy: „**kto woła?**”  
A Aleksandra syn, z śmiechem czy bolem,  
Szepnął: „**Jestem mu Gwidem czy Apollem!**”\*\*\*  
- Z śmiechem czy bolem? - ciekawość albowiem  
W sumienia względzie bolesną jest rzeczą,  
Której najcierstwszym nie poradzisz zdrowiem  
Ciała - ni środkiem, którym ciało leczą,  
I fraszka nieraz mała - gdy **zapyta**  
**Sfinkсовym głosem** - na długo myśl chwyta.  
- „Któż jest on gniewny smagacz Apollona?  
I czemu w nocy - w ogrójcu Jazona -  
Jeden z tych cichych mężów, co przy domu  
Siadywać zwykli w wędrownej gościnie?  
Czy i sam Jazon, nie znany nikomu  
Z wiary swej - jest w tej ceremonii, czy nie?! -  
Czy to hebrajskich mędrców jest robotą,  
Chrześcjan czy także nie winują o to?  
- Lecz Artemidor tak bliski z Jazonem,  
Wtajemniczony w Maga wszystkie sprawy.  
Cesarz go ceni; Gwido zaś - ten zgonem  
Własnym na jawie walczyć umie z tronem.  
Nie! to szalony ktoś, lub dla zabawy,

Lub który z chorych doktora Jazona  
Wybiegł, księżycu opętan promieniem;  
Lub nieszczęśliwy czciciel Apollona  
Za liche wiersze mści się nad kamieniem.”

To myśląc i tej gdy doszedł swobody,  
Która mniemania daje wyjaśnienie,  
Syn Aleksandra szedł jak człowiek młody,  
W powietrzu, które nagaba sumienie,  
W powietrzu zwianym z przedświtem Epoki  
Nowej, z mętami starej - z siarką, z solą,  
Z szeptaniem kształtów nikłych jak obłoki,  
Z bitw gwarem, które mają być, a boją;  
Powietrzu, które, czujesz, że się może  
Zapalić wkoło, jak pomiotło Boże,  
I kometami rozstrzelić - miast wiele  
Zmazać, i ludzi porównać w popiele.

„Spocząć! ach, spocząć!” - serce wtedy woła,  
Szukając wkoło, gdzie by się oparło:  
Na piersiach czyich - lub progach kościoła  
Jakiego? - wąpiąc, czy jedne umarło,  
Czy wszystkie zmarły, a jedne nie zdoła! -

Noc to, w czas której ten i ów powstawa,  
Nuąc lub klątwy rzucając niewczesne,  
A prawda ludziom zda się jak zabawa,  
Zabawa - jako strapienie bolesne:  
Słowo jest ogień - milczenie jest lawa -

Jakoż szczęśliwy, kto wstawszy, gdy ciemno,  
Nie dotknął liry swojej nadaremno,  
Przedświtu blasków doczekał, a potem  
Wytrwał i, dniowy jaw jakkolwiek **szarpie**,  
Wytrzymał burzę, co przemija grzmotem,  
I skubie tęczę - dla serca - na szarpie.  
Jakoż szczęśliwszy, kto nie posiał solą,  
Mimo że słonych łez niemało strawił.  
- Lecz nie tu koniec z uprawą i rolą.

-----

Kto siał gorczyczne ziarno, **zgorzknął, zbawił**:  
Gorczyczne ziarno liche i pieprzowe,  
Prochowi równe, który noga zwiewa,  
Lecz wyżej serca urasta, nad głowę,  
I tak się staje podobieństwem drzewa,  
Że ptak niebieski gniazdo na nim miewa.

\* W kilkanaście wieków Byron jedzie służyć sprawie greckiej.

\*\* Z Zenonem o samobójstwie.

\*\*\* „Jestem mu Gwidem?” Odniesienie myśli do zajścia na karcie 196  
[tu s. 134] skreślonego: „Gdzie wyraz: *quidam*, ład pomieścił cały.”

#### XIV

Lucius Pomponius Pulcher, pod tę porę,  
Najzawołanym młodzieńcem był w Rzymie:  
U niewiast, które szaty różnowzore  
Noszą, czarownic zwykło brzmieć to imię;  
U niewiast, które zaniechały *pallę\**,  
A włosy w rąbek ku górze od skroni

Zgarniając, cztery naraz mówią: „*Vale!*” -  
Imię **Pomponius** brzmiało jak: „**Do broni!**”  
W legiach - lub jako - o! publiczny wstydzie -  
W zebraniu tłumnym poszept: „**Konsul idzie.**”

Pomponius ród swój szlachetny wywodził  
Przez senatorskie krzesła. - Za Trajana  
Z Pliniuszem Młodszy jeden z nich **gdzieś** chodził  
W Egipcie, drugi jadł u Domicjana -  
Inny posłany był w panońskie szlaki  
Jako generał, skąd koni i siana  
Sprowadził naraz tyle, że żołdaki  
Z prowincji i lud, sprawy tej spektator,  
Już, już wykrzyknąć chcieli: „**Imperator!**” –

Lucius Pomponius Pulcher nie był wiele  
Ćwiczony w rzeczach mądrości i prawa,  
Lecz miał do siebie to, że mawiał śmieje,  
I to, że rzymska kochała go Sława.  
- Urzędem żadnym jeszcze się nie bawił,  
Lecz znane było, iż w **Villi-Pomponii**  
Ogrodowemu bogowi postawił  
Świątynię; wszakże nie uczęszczał do niej,  
Filozoficzne swe mając mniemania,  
O których z czasem **miał napisać nieco**,  
Co wszakże słuszne zwlekły odkładania,  
Aż się **te rzeczy utną** i rozświecą -  
Tymczasem Cynrie słały mu spojrzenia,  
Gdy do teatrum wchodził w swej chlamidzie

Zębionej złotem - i coś na kształt drzenia  
Zausznic, kolii, brzmiało: „**Pulcher idzie** -”

Bywało nawet, że senator siwy,  
Za Pulchrem widząc rzesze i pochodnie,  
Śmiał się i palec podnosił leniwy  
W kształt *V*, co znaczy: „**witaj**” - i jest modnie.

Mistrz Artemidor, starych idąc śladem,  
Zwał go niekiedy „**małym Alcybiadem**”,  
Pomponius zasię, słysząc te wyrazy,  
Zwykł był pokłaniać *pedum* kilka razy -  
*Pedum* bynajmniej gminne, z jakiej śliwy  
Suchej lub krzywej wycięte oliwy\*\*,  
Lecz wyrzeżane z zęba słoniowego,  
Złotymi ćwieki misternie upstrzone,  
Z napisem *L.P.P.* - wreszcie do tego,  
Jak włócznia, laska, tyrs lub styl noszone.

Nigdy sam, zawsze chadzał on ze **swymi**,  
Którzy mniej więcej byli mu podobni:  
Ten z szat, a owy gesty udanymi,  
Ci **swoi** wszakże mniej byli ozdobni  
I mniej bogaci, i rodem nie tyle  
Świetni, i wziętość mieli mniej motyle  
Pomiędzy Cyntie, Lidie i Kamille –

Pierwszy z nich, **Florus**, **Longinem** nazwany,  
Za Pomponiusem jak den uwiązany

Chadzał - a głowa jego nad ramieniem  
Przywódcy była jakby dopełnieniem,  
Którego oko nawykłe szukało,  
Bacząc, czy całe jest dwugłowe ciało.

Lucius Pomponius zamierzył od dawna  
Ugościć Zofię w **Villa-Pomponiana**,  
Lecz nie z powodu, że ta była sławna -  
Raczej, że, sławną będąc, była **znana**.  
Nie iżby liczył w sposób małogodny,  
Iż stąd dwa razy tyle będzie modny,  
Do tyła całe nie będąc fałszywym,  
By się wyręczał środkiem niewłaściwym -  
Lecz że to wszystko mimo woli jego  
W powietrzu miejskim znajdowało spadki  
Takie - iż, najmniej nie dodając *ego*,  
Czyniłeś, raz się w te wpisawszy kratki,  
I byłeś takim nie przez swą osobę,  
Lecz że nijakim byłeś w taką dobę,  
I gdybyś widział, że to drugi czyni,  
Tylko byś winił go, że się nie wini.

Już wiele razy na przechadzce dumnej  
Przez **Via Appia**, gdzie w chłody wieczorne  
Przejeżdżał senat i patrycjat dumny,  
Matrony, dziewczki i rzesze pokorne,  
Pomponius Lucius, rydwanem czerwonym  
Tocząc jak Neron, Zofii szukać lubił,  
Nie iżby kochał albo chciał być czczonym,

Lub jak Chrześcijanin wzrokiem ją poślubił,  
Lecz że nic k'temu nie ma ani przeczy,  
Że to się dzieje tak - z natury rzeczy.

Ta zaś natura rzeczy jest następstwem  
Rytmu wypadków nie ujętych niczem  
Gwoli celowi - i nie jest przestępstwem  
W bezprawnej sferze, z Janusa obliczem -  
Bo tam przestępstwa nie ma ani zdrady,  
Ani przykładów nie ma - tylko **ślady!** –

Hołdy te Zofii nie były natrętne,  
Lecz kto ją widział je odbierającą,  
Dostrzegł, że lica jej byłyby smętne,  
Stalszymi będąc - tak kwiat gdy potracą  
Przechodnie w sposób niezbyt pogardliwy,  
Odprostowywać się zwykł harmoniami  
Słodkimi trzciny swej, choć niecierpliwej.

Któż bowiem **kochał**, jak to później zwie się,  
Jeśli to stałe ma gdziekolwiek imię!  
- Któż bo - lub raczej: **któryż?**- kochał w Rzymie,  
Co pierwsze dziewczki gwałtem sobie niesie  
Z teatrum do dom - lub jak koturn zmienia  
Bez obrażenia i bez przeproszenia:  
Pomny, że inne czucia są olbrzymie,  
A inne karle, i dumą tam sięga,  
Gdzie się krew w ducha rozprzęga czy sprzęga.\*  
Zofia inaczej - ona z Rzymu brała

Moc niemyślenia, że gdzie indziej wzrosła,  
Resztę zaś kratą liry zamykała,  
I wtedy była - czy straszna? czy wzniosła? -  
Nie wiem; tak klatkę lwa, gdy z nim zadrzała,  
Wydążasz furty zatrzasnąć podrywem,  
A choćbyś sam był lwem, wiesz jedno: „**Żyw-em!**”\*\*\*\*

\* *Palla* - szata poważna.

\*\* Pedum - taż sama laska, u góry zakrzywiona, której dzisiaj Anglicy konno jeżdżąc używają.

\*\*\* Formacje **rodów** kabalistyczne, bez względu na serca, a z widokami jedynie socjalnymi i politycznymi dla utrzymania **ducha-rodu**.

\*\*\*\* „Żyw-em” - skrót: jestem żywy, albo: uszedłem cały!

## XV

„Obyczaj - wolny jest od obrażenia  
W czasie, gdy wszystkie równe mają prawo -  
Mówiła Zofia - ja dziś do jedzenia  
Siadam\*, a tobie, gdy chcesz, służę ławą  
I, jeśli zwyczaj masz, wieńcem bluszczowym.”\*\*  
Co Aleksandra syn słysząc: „Gotowy-m -  
Odrzekł - czymkolwiek darzy, przyjąć od niej,  
Mimo iż bluszcz mi skroni nie ochładza -”  
„A róże?”  
„Może bez wieńca swobodniej;  
Może stosowniej - kwiat albowiem zdradza  
Upadkiem -”  
„To jest stary przesąd wschodni” -  
Odrzekła Zofia, gdy głowy golone

Dwóch niewolników, ku niej pochylone,  
Słuchały ciszej rzeczonych rozkazów,  
Jak wyciosane kariatydy z głazów.  
„Więc przyjmę lauru wieniec lub dębowy.  
Pierwszy, ażebym z odkrytą był głową,  
Jako ty jesteś - drugi, iżem głowy  
Nie oddał treści słów twych piorunowej.”  
„Młodzieńcze! - Zofia na to mu odpowie -  
Jesteś przyjemnym bardzo biesiadnikiem!  
Rzecz coraz rzadsza, tak iż wkrótce, kto wie?  
Może nie będziem jadać, albo z nikim.”  
„Zaiste, coraz mniej umięją gościć -  
Syn Aleksandra prawi, biorąc jadło -  
Aż to, co zowią Chrześcijanie: „pościć”,  
Znacznie się w biedny lud w Imperium wkradło.

„Znasz więc misteria onych?”  
„Podróż moja,  
Że filozofię wszelką ma na celu,  
Czyni, żem dotknął niejednego zwoja  
Pism, i moralnych precept mistrzów wielu -”  
„I - ?” - rzekła Zofia z pół-uśmiechem, który  
Coś nie-żeńskiego miał.  
„I stąd powziąłem  
Wiedzę o różnej praktykach natury.  
O onych - mówił dalej - co, popiołem  
Chleb posypując, zstępują aż na dno  
Całości człeka-zbiorowego w czasie,  
I tam tykają prawd - tykając, władną.

O onych - mówił jeszcze - którzy zasię  
Przenoszą mądrość czerpać z żądy sławy,  
I są współczesnych zwierciadłem promieni.  
O onych, którzy z natchnienia, jak z lawy  
Wulkanu, cacka robią dla zabawy,  
Albo są skrzydły orlemi noszeni - -  
O onych jeszcze, którzy ważą pyły  
Na szalach myśli i są jak mogiły  
Etruskie, dzbanów pełni rysowanych,  
Brązowych złamków, tudzież **lżawic\*\*\*** szklanych,  
Wyschłych, zielonych po kroplach, co zgniły -”  
„I -” - Zofia jeszcze dodała z uśmiechem.  
„I - oto twoje, pani, piję zdrowie,  
A pijąc, będę przypuszczeń jej echem,  
Że jak z ucztami, tak z mądrością; kto wie?  
Czy ta się w oczach naszych nie pogrzebie,  
Lub każdy mądrym będzie sam dla siebie.”  
„Tego mniej dzisiaj niż kiedy bym chciała” -  
Odrzekła Zofia tonem bez znaczenia.  
„Pani - to wszystko same przypuszczenia,  
Które jak płonne są, to pewna mała  
Okolicznostka mogłaby okazać.  
- I tak: elegiak pewny zapomina  
Na przykład notat z tabliczek wymazać  
I gubi one -”  
„Więc wraz nową wszczyną  
Elegię, zgubę oplakując -”  
„Przeto,  
I mądrość niemniej, gdy się zapomina,

Może jej służyć to za szczeble nowe,  
Jak te elegie i tabliczki owe -  
Lecz -” - Aleksandra syn głosem odmiennym  
Dodał, wpatrując się w Zofii wejrzenie:  
„Czy o zdarzeniu jakim bądź codziennym  
Mowa? -”\*\*\*\*\*  
Gdy mówił to, zasłony drzenie  
I kroków echa zwiastowały gości;  
Co bacząc, Zofia obróciła lica,  
A **Lucius** z gestem dobrej znajomości  
Weszedł, i **Florus**, znany z swej długości.  
Pierwszy, zwyczajem rzymskiego szlachcica,  
Zimno, acz grzecznie, wstęp uczynił mały,  
Ku Pani domu zwrócon i gościowi;  
Drugi przyświadczał, jak człowiek mniej dbały,  
Do kogo? o czym? mowa, lecz kto mówi.  
Obydwa siedli - Pulcher był odziany  
W przejrzystą szatę, a Florus w płaszcz tkany  
Sposobem zwykłym: te szaty przejrzyste  
W Cos wyrabiane są, a rzecz ta droga,  
Dlatego że jest lekka jak mgły dżdżyste,  
Zazwyczaj zowie się *vitrea-toga*.\*\*\*\*\*  
Jakoż mąż w szacie takiej jest podobny  
Do rzeczy w szklaną pochowanej skrzynię  
Ogółem-kształtu, bowiem szczegół drobny  
Fałdami bywa zamglony, i ginie,  
Zwłaszcza iż muchy złote albo gwiazdy  
Porozrzucane są po tej tkaninie.  
Krótka to była szata, jak do jazdy,

Więc i na rękę płaszcz on miał - niechcący  
Zwojem o *pedum* zaplątan kościane -  
Czerwone ciżmy, w księżyc zamykane  
Złoty - literą *C* z dala świecący.\*\*\*\*\*  
Tak strojny usiadł, folgę dając ciału,  
Jak duch, co swego dobiegł ideału,  
A w palcach *pedum* obracając giętko,  
Coś do Florusa poszepnął przez ramię;  
Potem na ciżmy pojrzał, strząsnął piętka  
I umilkł. - Florus, jak dąb, gdy go złamie  
Burza i czołem ku ziemi zawróci,  
Rękoma z krzesła ciężył żyłastemi.  
„Mieliśmy kwestię z filozofem gościem” -  
Zapowie Zofia. - Pulcher przerwał:  
„Zgadnę!”  
„Mów-”  
„O czas, przestrzeń, nudę - miłość -”  
  
„Żadne  
Z zadań tych, których wyboru zazdrościm.”  
Więc Aleksandra syn rzecze: „Pytanie  
Było, azali wkrótce umiejętność  
Dawania uczy całkiem nie ustanie  
Przez suchość serca, skąpstwo i namiętność -”  
Tu Pulcher, jako gdy kto własne zdanie  
Usłyszy, znacznie spowaźnił oblicze  
I rzekł: „Na kwestii takiej rozwiązanie  
Więcej, niż mniemać by kto mógł, dziś liczę,  
Z dawna albowiem miałem w Pomponianie

Ugościć kilku przyjaciół i panię -  
Tak iż, by zamiar ten objawić, właśnie  
Przychodzę - „ - mówiąc to, Zofii wejrzenia  
Szukał, jak kiedy z drgającego cienia  
Wnosisz, że lampa d przedwcześnie zgaśnie,  
A jesteś w ciągu twego zatrudnienia.  
„Czynem więc ma być kwestia rozwiązana?”  
„To jest w naturze mojej” - Pulcher rzecze -  
„Tak się rozstrzyga wszystko w Pomponiana.”  
Florus rzekł: „Węzły gordyjskie a miecze  
Spotykać winny się - to jest logika,  
Przed którą bodaj wszech-sylogizm znika,  
Co tak dalece w filozofii mojej,  
Jako warunek *sine qua non* stoi,  
Iż z czasem **portyk**\*\*\*\*\* stworzę k’temu nowy,  
Widząc, do ila czcze są szkoły wszystkie,  
Kierunek każdej krzywy i niezdrowy:  
Tylko - mam jeszcze pierw do zbycia z głowy -”  
Tu zamilkł - potem rzekł: „Nową artystkę  
Witał Rzym wczoraj na Flory wyścigach.  
Diwa Elektra!”  
K’czemu Longin doda:  
„Gra w cymbał, przy tym na dwóch tańczy bigach.”  
„Musi być bardzo młoda?”  
„Bardzo młoda” -  
Odpowie Pulcher Zofii, a ta znowu:  
„Więc, do pańskiego wróciwszy systemu -  
By przerwy tymi nie być wstrętą jemu -”  
Tu Pulcher przemilkł nieco, gdy gość dawny

Podpowie: „Portyk jeszcze nie jest jawny?”  
„Zaiste, dotąd, o tyle, o ile  
Swobodne na to pozwoliły chwile,  
Mniemam, iż wszystkie próżno nudzą tory,  
Jakimi mądrość jest poszukiwana.  
Bierzmy z Wielkiego Aleksandra wzory:  
Ten, gdy mu była jedna z prawd nie znana,  
Tycząca bogów - tak zburczał kapłana,  
Że odkrył mu ją na drugi dzień rano” -  
To rzekłszy, Pulcher Pomponius dwa razy  
Dotknął się palcem najdłuższym wielkiego\*\*\*\*\*,  
Jakby miał chłopca wołać i rozkazy  
Dawać - lecz w geście tym było coś złego.  
Syn Aleksandra **słuchał przez oblicze**  
**Zofii** - ciemne to może wyrażenie,  
Ale jedyne i najmniej zwodnicze.  
Zofia słuchała jak przez uprzedzenie,  
To jest, przed końcem każdego periodu,  
Co ma nastąpić, wiedząc bez zachodu.  
Florus, nie widząc, by płynność się rwała  
W przemowie Pulchra, czekał z zaufaniem,  
Aż piękność treści wysłoni się cała  
I nikt już z nowym nie wstanie pytaniem.  
Więc tylko szeptał czasem: „Pulcher! chwała!”  
- Mistrz Artemidor w ciągu tej perory  
Wszedł, cichym ogół skinieniem powitał  
I siadł, tabliczek dobył i coś czytał -  
Potem rzekł:  
„Inna, mniemam, jest **brać wzory**,

A inna: **wzór brać**” - i zamilkł.  
Te słowa,  
Dwuliciej treści, ogół zaniemiły  
I stron przeciwnych uwagę zwróciły,  
Jakby tam postać weszła Janusowa.  
Co gdy Mistrz spostrzegł, zwracał się ku pani,  
Niby rozmowę chcąc przetworzyć dla niej -  
Gdy ta nie słowem, lecz gestem zapyta,  
Jako sentencja niejasna się czyta? –  
I było cicho. - Mistrz rzekł: „Tenże samy,  
Za przykład wzięty, Aleksander jadał  
Wieczereż leżąc - do obiadu siadał.  
My, co na różny sposób dziś jadamy,  
Jakoż powiemy? - ja siadłem, gość leży -  
Ten i ów sposób do wzoru należy -  
I tak: gdzie indziej żydowscy kapłani  
Czynią, iż najmniej mąż ów ich nie gani,  
Przyjmują nawet hołd od bohatera  
Dla rzeczy, którą prawda ich zawiera.\*\*\*\*\*  
Jakkolwiek powieść - powyżej wspomniana  
Przez dorodnego mówcę a młodziana -  
Prawdą jest - wzór więc siebie sam zaciera?  
Nie - Aleksander rozliczne miał doby,  
Acz tenże samy w treści swej osoby.  
**Wzór** przeto biorąc, przedmiot się wyklada,  
Gdy **wzory** z siebie na przedmiot się składa.  
- Wzór jest to ogół przedmiotu, gdy wzory  
Są to usterki, przymioty lub pory,  
Wzięte tak czasem, iż cel się zaciera,

Bo wzór się **bierze**, gdy wzory **dobiera** -  
Jakoż - młodzieniec, w wyrażeniu skory,  
Słusznie wniósł: „Bierzmy z Aleksandra wzory!”

---

To Artemidor gdy rzekł, cisza trwała,  
Tylko niekiedy Florus szepnął: „Chwała!”  
Syn Aleksandra zrozumiał sól rzeczy  
I ile, chwając. Mistrz tym bardziej przeczy,  
Gdy Zofia lekkim ku słudze skinieniem  
Napełnić czary kazała. - Po chwili  
Chłopcy dwaj z lirą weszli i z siedzeniem  
Osobnym, które cicho ustawili  
I wyszli, krokiem Kamillów\*\*\*\*\* mierzonym.  
Zofia powstała na pół z odniechcieniem,  
Na poły z gestem dobrze obmyślonym,  
I *amiculę*\*\*\*\*\* z ramion odrzuciła  
Idąc - osobne zajęła siedzenie,  
A lirę do rąk wzięwszy, coś marzyła,  
Na nieumyślne strun patrząc drzenie.

---

Po chwili czoło wzniosła okazale,  
Struny tym silniej drasnawszy iglicą,  
I jęła mówić: z początku niedbale,  
Jak iskier rzuty - dalej błyskawicą  
Te tak ciskane słów iskry wstawały,  
Twarz oświecały i nad czołem drżały.

## IMPROWIZACJA ZOFII

1

Czy z Olimpu to ? - gdzie są abrysy świata -  
Rzeczą harmonijnej kłótni bogów,  
Czyjś upuszczony **styl** na ziemię z brzękiem złata,  
Śmiertelnych dziwowisko progów? -

2

Nie **styl**, nie - choćby Dedalów dzieło,  
Nie narzędzie kruche, pism iglica,  
Lecz twój, o Mistrzu, głos i co się zeń przejęło  
W myśl - i co krwią błysło na lica.

3

Bo inna **pojąć wzór** i, cało-dźwięków tworu  
W poza-jawie słuchając, nad światy,  
Samemu kwiatem wzrość, ku prawdzie pierwowzoru,  
A inna - wieniec wić - lub rwać kwiaty - -

-----  
„**Jak ja** -”

- dodała wieszczka, kładąc lirę,  
Głosem, co echa nie miał, lub nieszczerze,  
Gdy strun ostatnie dźwięki, coraz letsze,  
Strofę tę jeszcze powtarzały w wietrze:  
„Bo inna **pojąć wzór** - i cało-dźwięków-tworu  
W po-za-jawie słuchając, nad światy,  
Samemu kwiatem rość, ku prawdzie pierwowzoru,  
A inna - wieniec wić - lub rwać kwiaty - -”

-----  
Syn Aleksandra, bardzo zadziwiony,  
Patrzył na Zofii postać, niepodobną

Do siebie samej, gdy za nią te tony  
Rzuconej liry na ławę osobną  
Odrzękiwały jeszcze w cztery strony,  
A postać wieszczki z nich rosnąć się zdała,  
Jakoby z kręgu fali poruszonej,  
I szła ku gościom, blednąc - przy tym drżała,  
Lecz nie przez dziewcząt obawę gołębią:  
Raczej jak drzewa, gdy wiatry je ziębią,  
Jesieni skrzydłem odmiatając w stronę  
Liście ich, co już żółte i czerwone.  
Drżenie zaś takie, że jest z wysilenia,  
By drugim swego udzielić natchnienia  
I podnieść masę słuchaczy ku sobie,  
Szybko się innym udziela, lecz czyni,  
Że podnieść mogła ich, o ile w grobie  
Umiała własnym pierw być jak mistrzyni.  
Więc spieszenie k'wieszczce nawrócili lica  
Goście - na sposób każdemu właściwy:  
Pomponius z gestem rzymskiego szlachcica;  
Florus jak człowiek, gdy chce pytać: „**Czemu?**” -  
Lecz na obecnych pierw pogląda lica;  
Syn Aleksandra, wieniec zdjęwszy z czoła,  
Powoli liście obrywał zielone,  
Gdy Artemidor-mistrz, w pośrodku koła  
Stanąwszy, pojrzał w tę i ową stronę,  
Na ramię potem rzucił płaszcz koniec  
I już miał usta na wpół otworzone,  
By mówić, skoro zawołano: „Goniec!”  
Był to posłannik Maga - postać chora,

Wchodząca krokiem wstępu i odwrotu,  
A włos mająca zlepiony od potu;  
Ten ręką z listem do Artemidora  
Skinął i pismo oddał - i znikł w sieni -  
Gdy Mistrz to czytał zwitek, to szedł w stronę -  
A goście byli nieco zadziwieni,  
Sięgając myślą w list i za zasłonę.

Po chwili wszakże dawny spokój wrócił -  
Z nim przedmiot dawny czuć się dał w rozmowie,  
Więc Mistrz, ujawszy prawy płaszcz koniec,  
Na ramię lewe układnie zarzucił,  
Jak człowiek ufny, że dotrzyma w słowie,  
Gdy nagle głośniejsz obwołano: „Goniec!”  
- Gońcem tym liktor był z cesarskiej świty,  
Dzierżący kartę pisaną czerwono\*\*\*\*\*,  
Stając, jak dobrze z marmuru wyryty  
Mars lub gladiator z zwycięską koroną -  
Tak iż pomiędzy goście cisza wiała,  
Gdy Artemidor brał list, chyląc czoło -  
Florus sam jeden poszepnąć chciał: „Chwała” -  
Lecz usta przyciął, patrząc naokoło;  
A Aleksandra syn te rzeczy ważył  
Jawnie - zaś jawniej o odejściu marzył.

\* Tak kobiety greckie jadały, przy łóżkach siedząc.

\*\* **Wieniec bluszczowy** od odurzenia winem - **spadanie kwiatów z wieńca**: oznaka nieszczęścia w miłości - a **wieniec dębowy** nosiły osoby, które pominął piorun, co godność i świętość oznaczało.

\*\*\* *Lacrimatoria* - naczynia do łez szklane, w grobach znajdowane.

\*\*\*\* Jest albowiem **elegia** sławna nad zgubą tabliczek z wierszami Cyntii.

\*\*\*\*\* Na wyspie **Cos** wyrabiano takie *vitreas-togas* - w takiej to komży Neron chadzać lubił - Seneka komży takich używanie kobietom ohydza.

\*\*\*\*\* Takie *C* znaczyło liczbę **sto** i używało się za klamrę u cizmów arystokratycznych.

\*\*\*\*\* Portyk oznacza tu publiczny wykład.

\*\*\*\*\* Takie trzaskanie palcami czyniło się ku zawołaniu niewolnika i zwano je *crepita-re-digitis*

\*\*\*\*\* Powieść - którą tu przytacza Pulcher o zburzeniu kapłana, aby mu prawdę ciekawą odkrył, wzięta jest z listu Aleksandra do matki jego.

Co do pokłonienia się Aleksandra Wielkiego Bogu Abrahama i Jakuba, to wszyscy historycy świadczą, ale Flavius-Józef najwyborniej to określa: „Jakoż kiedy Aleksander w gniewie wielkim na **Jaddusa**, najwyższego ofiarnika, a przeto księcia żydowskiego, szedł z falangami swymi w marszu na Jeruzalem, objawione było najwyższemu ofiarnikowi, na modlitwie w strachu zostającemu, aby w strojach świątecznych, z pieśnią i kwiatami, wyszedł przeciw przewidzianemu wojownikowi: i wyszli tak kapłani, i Jaddus z nimi wyszedł w ephodzie lazurowym, złotem tkanym, z lamą złotą na czapce swej, a na lamie złotej napisane miał zwyczajem przyjętym Imię Najwyższego. Wyszli tak do Sapha, skąd widać Jeruzalem. Fenicjanie i Chaldejczycy, w falangach Aleksandra pod bronią będący, poszeptowali sobie, iż Aleksander ogniem i mieczem jeruzalemskie zastępy i miasto zniszczy, wszelako wojownik macedoński, spostrzegłszy Arcy-Ofiarnika, pokłonił się k'niemu i objął go potem, i uściskał - a gdy poufny jego, Parmenion, zapytał: „Komu to uwielbiany od świata i pół-bóg hołd oddaje ?” - „Nie jego - odrzekł Aleksander - nie kapłana wielkiego, ale Boga, którego jest urzędnikiem, uwielbiłem. Albowiem kiedy jeszcze byłem w Macedonii i rozmyślałem sobie jakimi sposobami podbić potrafiłbym Azję, w tymże stroju pokazał mi się **On** we śnie i polecał: abym nie obawiał się niczego, abym Hellespont śmiało przeszedł, i że On na czele wojsk mych będzie, czyniąc mnie zwycięzcą Persów. Jakoż nigdy odtąd nie spotkawszy nikogo ubranego w szaty one, które pamiętam ze snu mego, wątpić nie mogę, iż wojnę tę wedle widoków Bożych prowadzę, i że tak pogromię Dariusza, zniszczę perskie państwo i że wszystko po dług życzeń moich powiedzie mi się.” Po słowach tych szedł Aleksander w poczcie kapłanów do miasta i do świątyni Pańskiej - i uczynił ofiarę Panu-Bogu wedle tego, jak mu zalecił Arcykapłan, który potem, księgi Daniela Proroka podane sobie otworzywszy, okazał Aleksandrowi: jako proroctwo **o Książęciu greckim perskie państwo zniszczyć mającym** właśnie na Aleksandrze Macedońskim wykonywa się.”

To podaje najszczegółowiej Flavius-Józef - *Anti[quitates] Judai[cae]*, księga XI, rozdz. VIII.

\*\*\*\*\* Kamille - chłopcy przy obrzędach religijnych w chóry i procesje ustawiani.

\*\*\*\*\* *Amicula-barbarica* — krótki płaszczyk z rękawami: jubka-przyjaciółka.

\*\*\*\*\* Imperatorowie czerwonym atramentem pisywali.

## XVI

Noc była - księżyc w przysionek otwarty

Szerokie składał promienie, jak karty

Księgi, z głęboką uwagą czytanej.

Cienie dwa wielkie, ucznia i rabiego,  
Z podłogi czołgać zdały się na ściany,  
Wśród takiej ciszy, w której i **niczego**  
Zląkły się człowiek taką zdjęty ciszą,  
Gdy - że już koniec brzmień - myśli się słyszą;  
Ta zaś, acz próżna, łamać się zdawała  
Sama, na pewne akordy i spadki  
Rwąc się - i ducha ruch wywoływała  
Na słowo jakiejś sfinksowej zagadki.  
W przerwach tych uczeń Mistrza śledził oko,  
Poprawiał lampę, lub wzdychał głęboko.  
Mag po fenicku mówił do Barchoba,  
Który, w podrózne zawity odzienie  
U nóg mu siedział i, ramiona oba  
Ku piersiom zgięte mając, tkwił wejrzenie  
W każdy ruch wargi starca, w oka mgnienie.  
„Przejeżdzną kartę i na statek prawo  
Wnijścia z cesarskiej woli się otrzyma -  
Jedziesz” - tu Barchob błysnął okiem łzawo,  
Co Mag zoczywszy dodał: „**Tego** nie ma  
**Z postacią?**” - „Nie ma!” - Barchob mu odpowie,  
Stwierdzając krymkę podrózną na głowie,  
A potem lampy światełko czerwone  
Krzepił strącaniem popiołu na stronę -  
Więc Mag znów rytmem, jaki się używa,  
By czas przeczekać natrętny długością,  
Mówił:  
„Ten i ów rodzi się - a bywa:  
Ci duchem - tamci zblizeni są kością,

A tamci głosu dźwiękiem - a ci mieniem,  
A owi jeszcze głębszą wzajemnością  
Bytów i onych spowinowaceniem.  
- Zastępy z tego ciągle sprawowane  
Że urastają w to, co Grek nazywa  
**Dramą**, prawdziwe rzeczy to i znane.  
Lecz jest szczęśliwa rzecz - jest nieszczęśliwa!”  
Tu westchnął - palcem poruszył siwiznę,  
Tak ciągnąc dalej:  
„Drama też, a drama -  
Grek, a Rzymianin, a Żyd - nie też sama -  
Zobaczysz jeszcze - będziesz miał ojczyznę  
W dłoni - **ja, może, skończyłem nad tobą -”**  
Tu Barchob czoło skłonił.  
„Mnie zostanie,  
Jak z wizerunkiem twym, zostać **z osobą,**  
**Której odbyło się w przyszłość skonanie -**  
Gdy ty siedm skrzydeł uniesiesz ode mnie,  
Bo może jesteś ów - może - to chyba  
Sprawdzi mąż, który wszystkie odgadł ciemnie,  
I - żem nie zmylił się, powie Akiba.\*  
Wtedy -”  
Tu porwał Barchoba za ramię,  
Ale mu w czoło wzierał tak głęboko,  
Jakby pisane tam dopatrzył znamię.  
I spotkał się mistrz z uczniem oko w oko,  
Milcząc - - - - -  
Gdy nagle po płaskich kamieniach  
Podwórza szybkie zabrzmiało stąpanie,

Rosnąc, a dalej i w przysionku cieniach  
Mąż się pojawił nie nadspodziewanie.  
Był to bynajmniej posłannik ów z miasta,  
Lecz - o dziw! - był to Barchob - Barchob drugi,  
Tak samo wiotki, ni mąż, ni niewiasta,  
Młodzian, a z czołem pooranym w smugi!  
Też same oczy różowo-płomienne,  
Znużone z wierzchu i niby pół-senne  
Wewnątrz, orlemu podobne wzrokowi.  
- Taż sama młodość, sztucznie starta wiekiem  
Skłamanym - - obraz takowy widzowi  
Zdawał się dwoić tym samym człowiekiem  
Tak - iż domowy Barchob uczuł drżenie,  
Gdy postrzegł gościa tego, czy widzenie.  
Jazon zaś - zimno patrzył nań z tą siłą,  
Z którą ogląda rzeźbiarz dzieło swoje,  
Taż samą formą odlewane w dwoje:  
Co ? gdzie ? udało się, lub odmieniło.  
Uczniowi potem wskazawszy przybysza:  
„Oto - rzekł - ten jest, **który cię ucisza**  
**I jako płaszczem od ludzi zasłania.**  
- Za trzy wigilie masz się ku Judei -  
On tu czasowe podejrzenia zgania -”  
To rzekł - tablicę wyjął z *M.B.C.I.*  
Kościaną, w głoski te bitą złocone,  
Na piersi ucznia zawieszając onę.\*\*  
Wszystko to szeptał Mag fenicką mową,  
Gest równy mając i twarz jednakową,  
Tak iż z daleka przybysz zatrzymany

Barchoba nawet nie widział profilu,  
Ile że twarzą zwrócić był do ściany;  
Przybysz w oddali, jako innych tyłu,  
Czekał, znak k'temu odebrawszy niemy,  
Że gdy ten wyjdzie, sami pomówiemy -  
Mag uczył dalej:  
„Lista tych, z którymi  
Kiedykolwiek mówiłeś, zostanie -  
**Toć i on Barchob!** spotkawszy się z nimi,  
Przez stopniowane toż samo podanie  
Utrzyma w ciągu, a zerwie, to zerwie:  
Tyś może **zorzy-synem**\*\*\*. - Koniec z tobą;  
Nie mojej odtąd, jak mówią, Minerwie  
Słuchasz - z twą drugą zostać mi osobą;  
Coć powie wielki **Akiba** na górze,  
To i ja wyznam, usłucham, powtórzę -  
Jam cię nauczył tylko abecadła  
I wiesz, jak która wzrosła treść lub padła.”  
Tu - już po rzymsku - mówić począł głośniejsz:  
„Rzym śni - jak wielki mąż - śni - i dośni  
Potężny geniusz! –  
Romulus, na wszczęciu  
Praw, rzuca zaraz ojczyście puklerze\*\*\*\*  
I już wybiera jak mąż, acz w dziecięciu;  
Argijskie woli tarcze i te bierze,  
Które też szersze są ku zasłonięciu.  
Łuczniczki rzymskie zazwyczaj są z Krety,  
Okrety - z Rodu, do pchnięcia sztylety  
Na miecze Galów praktycznie się mieni;

Z Etrurii teatr, z Grecji bogów lica -  
Bogów - których się ratuje z płomieni,  
By nie zginęła sztuka - ta - dziewica!\*\*\*\*\*  
- Tu Mag, splunawszy głośno, dalej rzecze:  
„No - filozofia także, także nieco  
Kwitnie! - Greccy to stoicy jej świecą,  
Ku piersiom uczniów zawracając miecze.\*\*\*\*\*  
Prawo? - przypomnij, proszę, samo prawo:  
To nie w dziesięciu wierszykach spisane  
Krótkich, że mógłbyś ręką je wziąć prawą  
I w torbę schować lub przybić na ścianę.\*\*\*\*\*  
To ksiąg folianty, to biblijoteki  
Takie, że gdyby barbarzyniec który  
Tybrowi oddał je licznymi wory,  
Skapałby miasto przez sam wylew rzeki!  
Zaiste szczęśny, komu się udało  
Widzieć wszechświata i państwa stolicę -  
Lecz- **gdzież jesteście?** - -”  
Domówił to z siłą  
I wielką rzucił okiem błyskawicę,  
Wstając, a potem z powszednim spokojem  
Rzekł: „Oto jeszcze chwilę razem stojem” -  
I rękę kładąc uczniowi na czoło,  
Które do kolan biegło jakby waga;  
„Idźże” - domówił i, patrząc wokoło  
Ze zwykłą ciszą, ze zwykłą powagą,  
Wyszedł - przez ramię dorzucając słowo:  
„Posłańca spotkasz z kartą przejazdową -  
Twoje zaś, gościu, jutro się rozpocznie,

Zowiesz się Barchob- **wiem - niech Barchob spocznie.**”

-----  
Ten rażno wyszedł, owy, toż do siebie

Wziąwszy, z podróżnym wychodził łomokiem.

A po północy było już na niebie,

Przez księżyc obłok sunął za obłokiem.

Coraz to wietrzniej i mniej uroczyście,

Mdławo i piersiom duszno jak na burzę -

Ze ścieżek suche podfrwały liście,

Lub szeleściły, kładąc się przy murze.

Wiatr, bez kierunku, tu, tam nagle rwący,

Suchymi w parów pryskał gałęziami,

I znowu ciszy moment, acz niknący,

Wracał, i znowu wiatr miótł obłokami,

Wierzchami sosen obracał leniwo,

Księżyc promień chmurą łamał krzywą -

Widnokrąg cały zaciemniał się nieraz,

Błyskawicami migocąc od spodu,

Tak że wciąż myśleć mógłbyś: „Oto teraz

Uderzy piorun.”

Barchob nasz z ogrodu

Wyszedł, do miasta kwapiąc się ulicą.

Co czuł? - wysławić tego niepodobna:

Ogromna przyszłość, rzeczywistość drobna -

**Żar** - bo nie **zapal** - żaglem, trud - kotwicą;

Powrót po latach trzech nauk Jazona,

Judei w dali miasteczka błękitne,

I mrok - i znowu otchłań rozwidniona.

Myśli, niepewne kształtem, treścią szczytne -

Rzym pod nogami, ile razy jeszcze  
Magowe słowa o nim pomnił wieszcz,  
Co całą państwa sił architekturę  
Porozsnuwały mu w myśli, jak górę  
W teatrom z płótna rozsunesz klejoną,  
Szczyt jedną wiodąc, a spód drugą stroną.  
To zwłaszcza śmiech mu do warg przyzywało,  
Jak zakazany owoc - albo w mocy  
Stawiło takiej, że miotałby skałą -  
Gdy - nagle strażnik, bram strzegący w nocy,  
Krzyknąwszy właśnie, przeraził go nieco.

-----

Tak to nie wszędzie równie gwiazdy świecą! -

\* Akiba - współczesny wielki mędrzec i rabbi żydowski.

\*\* Insignia zastępu Machabeuszów - tablica z kości słoniowej z napisem złotym *M.B.C.I.*,  
który to napis wulgarnie oznacza Machabei, a kabalistycznie wyklada się: „**któż jako Pan  
Bóg Izraelski!**”

\*\*\* **Zorzy synem - Bareochebas** wykładano kabalistycznie: **gwiazdy syn.**

\*\*\*\* Romulus w pierwszej zaraz bitwie porzuca puklerz mały własny, na szeroki go argijski  
zamieniając itp.

\*\*\*\*\* Sztuka - patrz w następnej pieśni.

\*\*\*\*\* Stoicyzm - doktryna kończenia samobójstwem.

\*\*\*\*\* Do Mojżeszowego prawa zastosowanie.

## XVII

Na plac z rozbiegu ulic wydarzony  
Szerokie wrota pracowni rzeźbiarza  
Otworzył człowiek pyłem ubielony -

I jak gdy słońca kto obieg uważa  
Wigilie licząc, od wschodu do zmierzchu  
Baczył - a potem włosów wstrząs! kędziory,  
Po sobie pojrzał i z rękawów wierzchu  
Owiał pył - - ziewnął - wraz wyjrzał i wtóry,  
Nie mniej w tuniki fałdach ubielony,  
Jakby, z posągi gdy bywał, wziął na się  
Obyczaj boski Olimpijskiej strony,  
Tracąc go w miarę, jak schodzi żyć w czasie -  
Za nimi dwoma z cieniu wyzierały  
Antinousa biusty marmurowe,  
Smutne - jak gdyby płakać wiele miały,  
Lecz, nie skończony mając wzrok i głowę,  
Zapominały albo nie umiały -  
Gdy żywi taką toczyli rozmowę:  
„Dijoskifilos biustów robi dwieście  
Antinousa - dwadzieścia Cesarza -  
Co będzie potem? - rozesał po mieście  
Ludzi: z tych każdy chodzi a uważa,  
Gdzie brak? - i zaraz z posągiem tam idą,  
Lub, że przyjsć mają, zapisują kredą.”

„Fidias - czy robił tak?” - ozwał się z cieniu  
Głos, jakbyś dłutem śliznął po kamieniu  
Greckim, kryształ w swej mającym mące,  
Podobne soli, stal odbijające.

Co rzekłszy, wyjrzał: był to człowiek blady,  
Ale bez-barwą czerstwą i przytomną.

„Nie mam w Fidiasa dziś wstępować ślady” -

Najstarszy odrzekł z wykwintnością skromną.  
„Choćby dlatego - młodszy wraz dopowie -  
Że Fidias bóg był, gdy my - nie bogowie!”  
„Sens tego słowa **bóg** - to jego nuta,  
Pokąd **o bogach** mowa - lecz co pewna,  
To to, że Fidias-bóg używał dłuta,  
Tudzież marmuru, złota, kości, drewna -  
Dalej - że pono za cel nie brał owej  
Natury - albo z drugiej ją połowy  
Zachodził, która że jest idealna,  
Więc nieskończona i niewyczerpalna -  
I stąd mógł robić wieki - do dziś może!”  
„Komu?”  
„Tym, którzy byliby innemi!”  
Tu dał się słyszeć szmer i gwar na dworze,  
Lektykę bowiem stawiano na ziemi,  
Ciężką, z wonnego budowaną drzewa,  
Pstrą miedzianymi gwiazdy i gwoździami,  
A jako ptaszę z gniazda, nim zaśpiewa,  
Wychyli głowę, z takimi ruchami  
Elektry-diwy wyrastały lica;  
Zaczym Pomponius rękę poniósł prawą  
Ku niej - pierścieniem rzymskiego szlachcica  
Świetną - i Florus ze swą, niby z ławą  
Szeroką, skoczył: lecz Elektra zgadła  
Obu i, niżli spostrzegli, wysiadła.  
„Sto biustów warta!”\* - Lucius rzekł, a owi,  
Którzy lektykę nieśli, zawołali,  
Pot ocierając\*\* : „Niechaj żyją zdrowi!-

**Sto biustów warci!**" - Rzeźbiarze witali  
Gości, lecz rozruch w pracowni był taki,  
Iż mało baczył kto, gdzie posąg jaki.  
Ciskane tylko słychać było słowa:  
„Zeus! - Antinous! - oto Zofii głowa! -  
Pies-Alcybiada! - Venus krótko-szatna! -  
Natchnienie! - znawstwo! - amator! - spektator •  
Ten, ów, filozof - sztuka niepopłatna -  
Bez-plamny marmur - *divus Imperator!*" –

-----

\* W miarę zasługi nagradzano liczbą posągów przez senat wotowaną.

\*\* Krzykacze publiczni obwoływali często wdzięki kobiet tego rodzaju u wnijscia do teatru.

## XVIII

Puste mieszkanie z Epiru młodziana  
Otworem stało jak wszystkie gospody;  
Wytartym **freskiem**\* każda z czterech ściana  
Przedstawowała, jako Bachus młody  
Z nimfami sprawia winobrania gody.  
- Obrazy one, w czterech medalionach,  
Odpowiadały sobie jak zwierciadło,  
Też same poznać dając po ramionach  
Osoby, których indziej twarz odgadło, r  
Arabeskami medaliony one  
Były, jak roślin zwojem, oplecione,  
Mającym w liściach swych i inne twory,  
Poprzewijane owadem w gadzinę,  
Gadziną w zwierzę, a zwierzem w upiory

Fantazji - w sposób: iż zaledwo trzcinę  
Postrzegłeś, ta się wyślizła ci węzem,  
Wąż w ptaka plwał się, wyrzucając ślinę,  
Tej skrzydła w szatę nikłą - szata mężem  
Brzmieje - mąż na hełm wytryska liśćmi,  
Których kwiat tarczą, a pręty orężem,  
A pąki - iskier tlejących gwiazdami.

- Przy łożu, skórą lamparta okrytym,  
Z rękopismami stała cicha urna,  
Na której jawił się mąż być wyrytym,  
Gdy lampa wyżej świeciła poczwórna.  
Tę na świeczniku prostym a wysokim  
Stawiała właśnie gospody służebna,  
A był czas, kiedy słońce, bez-obłokiem  
Nagie, dotyka jak rzecz niepotrzebna  
I, między zasłon rozdarcia lub szpary  
Do domów wpadłszy, ozłaca filary.  
Lampę oczyścić, poprawić posłanie  
I kurz gdzieniegdzie otrząść, przynieść wody -  
To całe służby wewnętrznej staranie  
W progach stojącej otworem gospody.  
Jakoż krzątała się tak dziewczka owa,  
Gdy weszedł człowiek, kosz mający w ręku;  
Blady był, cera ta jednakże zdrowa  
Nie ujmowała powagi i wdzięku  
Profilom, linią szorstką rysowanym,  
Twarzy i ramion, i nagich goleni;  
Ten, kosz stawiając, rzekł: „Został przysłany.”

„Od kogo ?” - zamilkł i uszedł do sieni,  
Co widząc, dziewczka rzekła: „Mów! bo wydam,  
Że jesteś niemy zalotów służący.”\*\*  
- Na co, odchodząc, człek ów, jak niechcący,  
Z uśmiechu bladym przebłyskiem rzekł: „*Quidam*”  
Dziewka, przed koszem stanawszy na chwilę,  
Poczęła kwiatów dziwić się ozdobie,  
Co jako senne dyszały motyle  
Na strunach pretów: tak pieśni są w grobie  
Poetów, w struny lir pozaklinane,  
Kwitnąc, acz ciche i niezrozumiane.  
- Czy to myśliła ta sabińska prosta  
Góralka? - Nie wiem. - Lud jest zawsze może  
Na równi z **wiedzą**, chociaż jej nie sprosta  
Wypowiedzeniem, ni pojąc jej może,  
Lecz drgnieniem serca jednym wie, co ludzie  
W umiejętności otrzymują trudzie.  
« Ci jednak innym oddawać to mogą,  
Jakoby w rękach mając swe zdobycze,  
Gdy lud iść tylko, wydeptując drogą  
Ślad - powolniejsze kroki - mniej zwodnicze  
I mniej zwycięskie - ciche jako strumień,  
Płynący równo po zieleni sumień -  
Wyszła - - przy łożu leżał zwój pisany  
W następujący sposób :

## JEDEN ZE ZWITKÓW

§1

Samotność znowu - każdy mi już znany -

§2

Mniejsza, co ona w pamiętniku moim  
Wyczytać mogła - czytam to z niej samej -  
Może na drodze równie błędnej stoim  
**Oboje** - wszakże ja choć szukam bramy,  
A skoro myślę się, myślę trudami.

§3

Jeśli świat cały, z **starców, mężów, dzieci**  
I niewiast złożon, za typy nam daje  
**Maga, Luciusa, Zofię** - zwłaszcza trzeci! -  
Jeśli obyczaj - - - - -  
Są pomnożeniem typów w zbiorowiska,  
To jakiejż ceny wart on i nazwiska?

§4

O Magu - że jest milczący, wiem pewno;  
Artemidora - znam, lecz subtelności,  
Pomponius - jest to wytoczone drewno  
Do osadzenia włóczni lub gry w kości;  
Zofia? - bez liry w ręku - - - -

§5

Z lirą w ręku -  
Nie ona! - z kimże żyję? jeśli żyję?

§6

Eureka! - wiem już, czemu trzeba jęku  
I krwi - i widzieć, jak z lwem się kto bije,

Albo na ostrze piersią paść otwartą ? -

By nie zapomnieć, żeś **żyw**.

§7

----- Tyle warto

To wszystko.

Dalej wiersze przekreślone.

Kwiatów woń izbę napełniła całą -

Słońce plamami w tę i ową stronę

Na ściany biło, nimfom w modre oczy,

Do złotych promień nosło im warkoczy

Lub malowane, nieme usta grzało.

- Cisza nadobna - cisza, która **kłamie**,

Że można spocząć na świecie bez winy -

Która **upewnia**, że Bóg jest, co trzciny

Złamanej, mimo idąc, nie dołamię.

Mistrz, Pan i Sędzia - .znający człowieka,

Nim był - litosne tak mający ramię,

Że - równie wiecznie i sądzi, i czeka! -

Nieme - bezkształtnie widne - tym podobne

Uczucia nieraz młodzieniec z Epiru

Czuł i na miejsca uchodził osobne,

Szukając **prawdy**, i ciała jej - **miru**;

Będąc - jak dzisiaj nikt być już nie może! -

Nie chrześcijanin bowiem, nie poganin:

Przez filozofii wpływ wąpiący może

O samej bajce olimpijskich tkanin;

Tym mniej - osoby wyznający boże.

W **śmierć wierząc** - jako w szczelnie zwarte wrota,

W miłości napój wiosenny i w wiedzę

Matematyczną - i w dźwięk słowa: **cnota**.

Blisko znaczący wyrazowi: **zdrowie**

I wyrazowi: **sila** - rzecz podobna

Do zaklęć, których jasno nikt nie powie,

A która wszakże jest, i jest osobna.

Błyskami także zórz nieznaney doby

Widywał czasem kraje wyobraźni:

Gdzieś ponad groby, czy gdzieś poza groby -

I czuł pogodę jakoby przyjaźni

W wiosennych wiatrach nieznanego kraju -

I rytm, muzykę jakąś - obyczaj!u!

To, co i Plato, w ciche kiedyś niebo

Przez liście laurów patrząc, czuł potrzebą

I **słyszał** - pojąć zdołał- **dać** nie umiał,

Wysławić nieraz mniej, niż sam się zdumiał!

\* Można to jeszcze w Pompei widzieć, o ile najuboższe nawet mieszkania ozdobione były zawsze malowanymi wzorowo legendami z mitologii poetów.

\*\* Kwiaty posyłano na znak współczucia.

## XIX

Niejasna w mieście krążyła wiadomość

O niepokojach w prowincji, czy wojnie,

Czy że wyjechać ma Cesarz-Jegomość

W nocy - wyjechać, jak można, spokojnie,

By tłum przywyknął czuć go i z daleka

Lub czcić w postaci zwykłego człowieka.

Inni twierdzili, że wieść ta źle głosi,

Na zwykle bowiem łowy się zanosi,

Przeto, iż dawno cesarska prawica  
Oszczepem w puszczy nie raczyła śledzić,  
Gdzie lega niedźwiedź lub gdzie zlega lwica:  
W czym nierad Adrian dawał się uprzedzić.  
Inni nareszcie tę powietrza zmianę  
W zamku, i co zeń wywiało za ścianę,  
Przypisywali wschodnim pewnym gościom,  
Lub z okrętami przysłym wiadomościom.  
- Wieść każda w Rzymie, niż gdziekolwiek więcej,  
Ma różnokształtnych ust swych sto tysięcy,  
Które brukową najprzód tętnią wargą,  
W jaśniejsze potem urastając głosy,  
Oklaskiem dalej stają się, lub skargą,  
Myślami Cara, i zowią się: **Losy**.  
Acz bywa, że nim tę przebiegną game,  
Nie poznawają się i mszczą same.  
Cesarz, jak zwykle, w bukszpanowym chłodzie,  
Z odkrytą głową, spoczywał w ogrodzie.  
Obyczaj, który, w dniu najmniej pogodne  
Chował, nie znosząc nic na nagim czole -  
Skąd poruszenie głowy miał swobodne:  
Nie takie wzroku, iż szukał kryć wolę,  
Drażliwość w spokój mędrca przyoblekać,  
Także, iż lubił zgłębiać i nie czekać -  
Dwie żądze, które zgodzić z sobą trudno.  
Było to wszakże, gdy wszech-wiedzę państwa  
Zdobył - część jego ludną i nieludną,  
Używającą prawa i poddaństwa,  
Naocznie zwiedził, w wielkich dwóch podróżach

Wolę i ludzi poznał wewnątrz żywych,  
A o okopach myśląc i przedmurzach,  
Świat tworzył, linii nienawidząc krzywych,  
Przeto iż dłuższe, a ceniąc je bardzo,  
Jako ucześnie i słodsze w swych ruchach.  
Więc był jak którzy chwalą to, czym gardzą.  
- Przy tym - nadeszła i wieść o rozruchach -  
Te Adrian ważył mało.  
Na marmurze  
Stołu przed ławą, gdzie Cesarz spoczywał,  
Leżały zwitki, tabliczki i róże  
Białe, a widno, że idąc je zrywał  
I w palcach misał, co może czas skraca -  
Stał także kubek sycjońskiej roboty  
Z **tetrafarmaku**\* resztką, złota taca  
Niżej - miednica i nalewek złoty.  
Sam był do kolan obrzucon opończę,  
Której brzeg strzępy z nici złotych kończą;  
Gdy Artemidor za znakiem mu danym  
Siadał na stołku kością wykładanym  
I zdał się słuchać, lecz uważał szczerze.  
Cesarz tak mówił: „Jako w **Antimaku**  
Z **Kolofon**\*\* więcej czytam niż w Homerze,  
Dziejów zaś szukam od pierwszego znaku  
Historii - nie zaś od Salustyjusza;  
Tak lubię z gruntu każdy przedmiot badać,  
Nie lada połysk brać do animusza.  
Wiedzieć albowiem na to, aby władać,  
Inna jest, niżli dla wulgarnej sławy -

Skąd samej nawet astrologii męty  
Nie są nam obce - ani jakie wstręty  
Płaskie mieliśmy dotknąć się tej sprawy.”  
Tu przemilkł - rękę wyciągnął ku tacy,  
Bawiąc się jadłem, jak to czynią ptacy  
W klatkach, mający smaki pogardliwe  
Dla zbytku strawy - lub syci próżniacy.  
- Że jednak skromny był więcej w jedzeniu  
Niż w duchu, rękę powrócił leniwo  
I mówił dalej:  
„Ten - chodzący w cieniu,  
Z laską, nieledwie długą tak jak krzywą,  
**Charonowego posługacz okrętu\*\*\*** -  
Jak się ma?”  
„**Jazon** - wyrzekł nie bez wstrętu  
Koryntczyk - wczoraj wiedzieć dał mi nocą,  
Iż niespodzianą złożon jest niemocą -”  
Tu przeszła chwila milczenia - aż znowu  
Cesarz pół sobie, pół do gościa rzecze:  
„Hellada! - wy ją znacie, tak, z narowu,  
Jam odgadł - ja ją podnoszę i lecę.”  
- Mistrz Artemidor pobladł. - „Jeśli komu,  
Literaturę poznać dawszy, skryją  
Ziarna jej - gości jak przyjaciel w domu  
I je - wie, jaką rzecz, lecz nie wie, czyją,  
Grecja-bo nie jest kilka świątyń, ani  
Pieśń jej” - Koryntczyk, jak góral z otchłani  
Znanej mu, ale bardzo niebezpiecznej,  
Wychyleń, wzrok niósł wkoło niestateczny.

„Grecji ja uczę ludy: od Eufratu  
Aż do Brytańskiej wyspy - ja to starą  
Helladę dzisiaj pokazuję światu!” –  
„**Przez nią jest światło**” - Koryntczyk rzeki z wiarą.

-----  
„Egipt? - tym samym Adryjan akcentem  
Ciągnął - przykryta rzecz czasowym mętem:  
Egipt jest wcale nie to! - w księgach Judy,  
Gdzie różne baśnie są - także i cuda,  
O Abrahamie mówią, iż ten syna  
Miał ofiarować. - **Są, co byli dalej  
W ofiarowaniu-**”

Tu mu poszła ślina  
Do ust i kaszlnął, mówiąc: „Cóż? - **azali  
Antinousa krwi nie poświęcono?**”\*\*\*\*\*  
Tu wstał - i znowu legł, lecz inną stroną,  
I znów obrócił ciałem: „By znać rzeczy  
Ludów, trza każdy mieć jak swój na pieczy.”  
Więc Artemidor na to: „Mało komu  
Dano jest mieszkać wśród wielkiego domu,  
Nie zostawując próżni.”  
„Są **studia** ciekawe,  
W których powołam was, filozofowie,  
By kilka kwestii wytoczyć na ławę -  
Tylko mi jeszcze wstrętnym bywa zdrowie  
Wątpliwe” - przy tym dodał od niechcenia:  
„A lubię rzeczy wywodzić z korzenia -  
A te mi Żydy bredzą swe marzenia -  
**A nie tą drogą iść ma** - jest u Żyda

To, że niesforny umysł ma i krzywy,  
I nieporządny - nie zna inżynierii,  
Ni planów - jakoż do prac jest leniwy.  
Zwierz dziki, gdy go zamkniesz w menażerii  
I jeść mu dawasz dobrze - z wolna - z wolna  
Truchleje - jednak drga w nim chuć swywolna.

-----  
Mniemam - że i ta Chrześcijan doktryna  
Nie jest w swej pierwszej legendzie. - Może by  
I tego dotknąć przyszła już godzina,  
Bacząc, gdzie błędu wina, gdzie potrzeby -  
W Jeruzalemie miejsce zmartwychwstania

**Jupiterowi** należy właściwie:

Ten jest albowiem, który się nie kłania,  
Mocny-bóg - dalej, i to bez-treściwie,  
O wykonaniu Chrystusa co bają,  
Tam **Venus** miejsce mieć ma - a powoli  
Uobyczają się i przyzwyczajają\*\*\*\*\* -  
Nim tnę, uważać zwykłem, ile boli  
I pokąd ? - bystrzy tak lekarze krają -  
Cóż? - czy nie Kocham Hellady?"

Te słowa

Lubo donośniej rzekł, głos mu nie służył,  
I sam to może poczuł, że nadużył  
Głosu - więc sięgnął, gdzie go boli głowa,  
Przymrużył powiek i powstał leniwo,  
W czym Artemidor zdążył mu co żywo,  
I poszli długim ciennikiem z bukszpanu,  
Coraz to ciche zatrzymując kroki - -

O myśli ludzka! - ty, co przeczysz **Panu**,  
Świadczyć Mu musisz przez błąd swój głęboki!  
A ty, coś prawdę poprawiał lub winił,  
Gdybyś na skryte jej popatrzył cele,  
Spytałbyś siebie, sfrasowany wiele,  
„Ja, com pracował tak - cóżem uczynił? -”  
Czekaj - z Wenerą twoją w Betlejemie,  
Aż Wól i Łukasz, i te Rafaele  
Przyjdą - położyć się czołem na ziemię,  
Wdzięki waszego **zniósłszy** ideału  
Nie ukazami - lecz twórczo, pomału –  
Tak - żeby Fidias przed **Familią-Świątą**  
Rafaelowską stanął\*\*\*\*\*, a **Jupiter**  
Świętego Pawła głowę baczył ścietą,  
Spokojną; **Merkur** - druk składany z liter;  
**Neptun** - Kolumba, co w krzyżowym znaku  
Kotwicę znalazł na morza nieznane,  
Na Ewangelią burze pokiełznane\*\*\*\*\*;  
**Pallas** - Joannę d’Arc żeby w szyszaku  
Jej zobaczyła z mieczem na rumaku;  
**Herkules**- żeby pary-wynalazcę  
Ujrzał, **Eskulap**, z wężem swym na lasce -  
Mojżeszowego węża zoczył z miedzi -  
Wszystkie by siły wasze, najporządniej,  
Do mimowolnej doszedłszy spowiedzi,  
Znikły - pozostał  **rząd** - i pył nierządny -

\* *Tetrpharmacum* - rodzaj pasztetu, potrawa ulubiona Adriana.

\*\* Adrian porządkować chciał na swój wyłączny sposób i uznane sławy starożytne: Antimacha z Kolofon nad Homera, nad Salustiusza zaś przenosząc Coeliusa Antipatra itp.

\*\*\* Patrz w XI pieśni wiersz: „**I Charonowym nazywał go sługą.**”

\*\*\*\* Nie jest historyczną pewnością ani podaniem, aby Adrian w pojęciu ofiary Antinousa - najdroższej sobie istoty - porównywał się z Abrahamem, ale jest znane i widoczne, do ila ten rozruszany na szerokość całego Państwa Rzymskiego umyśl we wszechgłęziach wiedzy i życia o przodkowanie się dobijał, w każdym elemencie składowym społeczeństwa i w każdej prowincji ducha jej starając się wedle mniemanej wyższości swej dociągnąć i sprostować. Otóż immolacja Antinousa zaraz po podróżach w Syrii i Palestynie na wstępie do Egiptu miejsce miała. - Psychicznie jednakże tragedia ta zupełnie inaczej się tłumaczy. - **Adrian** nadużył zachwycenia zmysłowego dla osobistości **Antinousa** do tego aż kresu, który w licencji onej był już ostatecznie - odwrócić się więc mogło tak wysilone i przesilone uczucie w ironię uczuć, w melancholię; a ta, jako religijny skrupuł, sama się w umyśle jego subtelnym upoetyzowała. Nieleddie zawsze **adoracja dla człowieka** przemienia się w przeciwne jej usposobienie - tak dalece nie względem człowieka uczucie to normalnym jest!

\*\*\*\*\* Stało się z czasem, iż na miejscu świątyni Jeruzalemskiej stanęła Jowiszowi Kapitołińskiemu poświęcona statua **Jowisza** - na miejscu, gdzie Zmartwychwstanie Pańskie miejsce miało; **Wenery** posąg, gdzie Chrystus Pan skonał. Do ila to doktryną jaką systematyczną przemysłone było, nie wiem pewno - ale z całego toku i tonu spraw Adriana widać już w tym jedno z tych śmiertelnych a potężnych doktrynerstw, które tyle razy potem pod różnymi postaciami, na różnych polach życia i wiedzy, przeciw duchowi ubogiemu Chrześcijaństwa pojawiają się. Jest w tym symboliczne jednak, acz mimowolne świadectwo, iż sprawa Pańska, wszystkie ideały najwyższe przenanajwyższywszy, przez to samo niejako objęła je.

\*\*\*\*\* U sztukmistrzów greckich - kontemplacja formalna do najwyższego, niezapreczenic, stopnia doszła. - Rafael wszakże i inni naczelnicy artyści chrześcijańscy nie tylko wyrównali onym formalnym ideałom, ale nawet najlegalniej je przewyższyli. Sztuka starożytna nigdy się nie podniosła do ideału **Familii-Świętej**, gdzie w warunkach najuboższych przedstawieni: **Dziecię-Bóg, Dziewica-Matka, Starzec-Anioł**. Lubo nie poniża się przeto, ani zatracza tego, co na polu formalnym starożytni pracownicy zdobyli, i miło jest zaiste wspomnieć, że na grobie Beato-Angelico da Fiesole, najwięcej chrześcijańskiego malarza, jakiego znamy, słusznie położone jest: „*Non mihi sit laudi, quod eram velut alter Apelles, sed quod lucra tuis omnia, Christe, dabam*” etc.

\*\*\*\*\* Wiadomo, iż Krzysztof Kolumb, kiedy trąba morska podniosła się i szła prosto na okręt jego, a przerażenie było takie, iż załoga na śmierć się gotowała, kazał sobie podać Ewangelię Ś-go Jana, a wyszedłszy naprzeciw strasznego fenomenu, czytaniem na głos Pisma Świętego morze uspokoił.

## XX

W czas, gdy firmament ciemnosafirowy  
Wielością jasnych gwiazd oczy zawraca,  
A cały urok nocy południowej  
Łagodzi zmysły - iż pamięć ukraca,  
W obecność jakąś przenosząc nieznaną

Myśl, wrażeniami za dnia pomiataną,  
Lub daje wiary chwilę, przez znużenie,  
Nawet zbrodniarzom, w kajdanach wilgotnych,  
Że - jeśli nie kres - rytm ma ich cierpienie,  
Samotność że ma swoich współ-samotnych.  
W czas periodycznej ciszy, której mowa  
Utula trzeźwych, niepocziwych zwodzi,  
Zastaje w domu, albo nie znachodzi,  
Na drzwiach im rosą pisząc zimne słowa,  
I dłoń, przed świtem klamki szukającą,  
Omywa czasem z krwi - lub krzepi drżącą.  
W czas tajemniczej bladości księżycy  
Syn Aleksandra wrócił do gospody -  
Jak światło, co mu olśniło jagody,  
Takie wejrzenie tęskne miał - i lica  
Pełne takiego bezmiaru pogody,  
Co, przez głębokość swą, że jest wątpliwy,  
Mniemasz - lub śmiało zwątpiłbyś, czy żywy? -  
Zwątpienia czczość mu serce rozłożyła,  
I ciężar siebie poczuł, nieprzytomny  
Po świecie idąc, co, choć ślepa bryła  
I bez-zmysłowa, i taki ogromny,  
Nie traci przecież ciężkości swej środka:  
Równo się toczy, choć kometę spotka.  
A on - na onym ogromie malutki -  
Chromiał, że mdle go wy drożyły smutki!  
Więc niby mówiąc: „**Czczo mi**” - do gospody  
Wszedł - - Woniejące wraz mu na twarz chłody -  
Jakoby chustę pot ocierającą

Rzucając - dziwnie bardzo otrzeźwiły -  
I mimowolnie wspomniał **twarz cierpiącą**  
Gwida - gdy tak go odchodziły siły  
**Przed twardym sądem ludzi bez sumienia;**  
Lecz te, uboczne, pierzchły wraz wspomnienia -  
Ciekawszym było, skąd kwiaty? dla kogo? -  
Lub jaką weszły do mieszkania drogą?  
Ciekawość wszakże skoro już zgadywa,  
Przestaje sobą być i, chociaż nie wie,  
Że zgadła, wszakże myśleń ciąg urywa,  
Lub, dalej idąc, siebie nadużywa -  
I taki czyni zamęt, jaki w śpiewie  
Przez rytmu zbytek, przez nadmiar periodu,  
Czyni się - pisząc spiesznie, lub za młodu.  
Chwilę więc myśląc: „od kogo są kwiaty?” -  
Już miał zapomnieć syn Aleksandrowy,  
Od kogo ulga przez ich aromaty  
Do ociernionej ludziom wnika głowy;  
Tak - rzeczywistość niewdzięczna jest treści,  
Lubo z niej żyje przez to, że ją mieści –  
To zaś - dopóki człek wywikłać może,  
Niepodobieństwo, by szczerze narzekał;  
Chyba już takiej niewoli doczekał,  
Iż chwili nie ma - by pomyśleć: „Boże!” -  
I zastanowić się: gdzie prawda szczerza? -  
Gdzie zaś to, co ją jawi i zawiera,  
Pozornie sprzeczne, choć wierne - **litera**.  
Balsam to wszakże, **wówczas** tyle skryty,  
Ile pomijan dziś, lub nadużyty -

Ból zaś młodzieńca - och! - mniej zroszowały,  
Niżli dzisiejsza bywać może boleść:  
Siły go z progów rodzimych wyrwały,  
Te, co dziś o nich prawi ledwo powieść -  
Sierota wprowadzie - lecz któż swoich nie ma! -  
W świat poszedł szukać prawdy i mądrości.  
Dziś już nie chadza się tak **za obiema**  
**Razem** - ni pragnie się ich - ni zazdrości -  
Jak to bywało w onych czasach dawnych,  
Dla myśli jednej, od sławnych do sławnych,  
Z Grecji pod cienie piramid trójkątne  
Idąc - do Grecji z Chin\*, w głuchym milczeniu  
Na głośne lekcje, na szepty pokątne,  
Na inicjacje i ciemne, i w cieniu.  
Jakoż te trudy a radości one  
Nie znane już są po dawnym imieniu,  
Zaniewiedziane albo przemienione.  
- Że jednak **Władca**, będąc doskonały,  
W zniszczeniu nawet ocala i tworzy,  
Więc wszystkie rzeczy **są**, które **bywały**,  
Acz w tryb ujęte coraz więcej Boży -  
Jeśli więc one sztuki czy boleści  
Trwają - to inna je sfera dziś mieści.  
**Energie** bowiem wszystkie Pan ocala -  
Stworzeniem jego będąc znakomitym;  
Tylko usterka ich sama się zwala  
Najściślej słusznym sądem, nieodbitym -  
Ale też same dzielności uczucie,  
Co Aleksander lub Annibal miewał,

Trwa - w prostodiuszej, w doskonalszej nucie,  
Iż je ból z czasem wytworniej dośpiewał.  
- Taż sama prawdy radość Sokratowa  
Gdzie indziej dziś jest - ale jest - i nowa!  
**Pan** bowiem jest i **Mistrz** - a rzekłbym: **prawie**  
**I uczeń** - trud tu równy już zabawie -  
I stąd jest owa niespożyta dzielność  
Łaski - i stąd jest w śmierci - nieśmiertelność.  
Z Epiru młodzian, wśród czasowych mętów  
Zawiei, mroku pełnej i łyskania,  
Nie znał był jeszcze onych dyjamentów,  
Co do kolebek dżdżą dziś przez podania -  
Nad piersią matki paciorkami wiszą,  
U nianiek nawet uszów się kołyszą -  
I pod dziecięcia ochrzczonego stopy  
Że położyły się raz jako snopy,  
Urasta z czasem człek do tyła dziki,  
Iż nogą depcze zbłoconą te skarby,  
Co mędrce w pocie, we krwi męczenniki  
Powykreślali i ubrali w farby –  
-----  
Acz - może w zamian - może, mówię, nie ma  
Dziś onych zbójców podłych i leniwych,  
Co nieraz mędrca rękoma obiema  
Rwali - co skrycie pytajników krzywych  
Jakoby haków wręcz tak używali -  
By wiedzy dostać bez własnego trudu -  
Aż się i kości nieraz doszukali,  
Aż domacali się pod kością - cudu.

- Wśród sępów takich z dziobami krzywymi,  
Na urągowisk szczudła podniesiony,  
Niejeden stawał, nie tykając ziemi,  
Wszech-skrytykowan i wszech-opuszczony:  
Konając w sobie z pragnienia i głodu,  
Współcześnie plwany i współcześnie czczony,

**Jak na pał wbity na dumę narodu.\*\***

- Ci zaś, co prawd mu z serca dobywali,  
By wiedzy dostać, nie spociwszy czoła,  
Nie znali, biedni - ach! - że kryształ soli  
Każdy ma prawa swe - i Archaniola,  
Co mu pogwałcić tych praw nie pozwoli.\*\*\*

Tych zbójców ducha, tych sępów próżności  
Była to właśnie jedna z pór - skąd jedni  
Nie dopuszczali do poufałości,  
Drudzy się w cieniu kryli, będąc biedni,  
Innych raz po raz na plac wyciągano,  
Wieńczono, plwano i zapominano.

- Lecz nikt całości tej tak cichej sprawy,  
Krwia coraz więcej pijanej, nie baczył:  
Księżyc ją tylko oświecał bladawy,  
Czas tylko zgony na klepsydrze znaczył -  
Cichoście\*\*\*\* tylko po zgonów odstępach  
Raz wraz jak nieme czaty przechodziły;  
Krwii tylko czasem płameczka na sępach  
Lśniła - gdzieniegdzie lampy się paliły  
Gliniane, biedne - oświecając karty  
Pism, lica zwiędłe, przy nich płaszcz wytarty.

-----  
Takie bez-barwne, bez-plastyczne tyle  
Pobojowiska! - takie Termopile! -  
Któż mógł odgadnąć? czyj wzrok mógł dośledzić  
I jakie serce przeniknąć te bole?  
Których nie dotknąć, ani wypowiedzieć,  
Ani okrzyczeń i wywieść na pole  
Teatru - w trąby pozłacane trąbiąc -  
Wskazując gestem, w cymbał laską rąbiąc?!\*\*\*\*

-----  
Zwłaszcza iż żywot, tak ze wszech miar party,  
Stawał ci nieraz jako księga spsuta,  
Rozwietrzająca przed oczyma karty,  
Tak że cień ledwo zostawał i nuta,  
I nuty echo. - I bywał jakoby  
Powietrza upust z płuc, pod nogą groby -  
Czczość, jakby tchnienie ci wpierw rozebrano,  
Niż mogłeś westchnąć podnosząc się rano.  
A któż podzielić i dostrzec mógł bole?  
Nie widne jako półmisek na stole?\*\*\*\*\* - -

-----  
Chybaby pierwwej wszystkimi żywoty  
Najboleśniejszej treści i istoty  
Jako ostatni wygnaniec na świecie  
Żył - a miał pierwsze prawo na planecie! -  
A był zniweczony tyle, ile w sobie  
Wszech-pacierz całej tej tragedii skupił;  
I nad-człowiekiem był w człeka osobie,  
I tak zmordować dał się -

I odkupił -  
Kobiety może serce by to zgadło,  
Ta jednak wówczas była jeszcze niczem:  
Dla wielożeństwa nie istniało stadło,  
A która żyła sama - była biczem  
Przelatującym od ręki do ręki,  
By ogniem chłostać, pociągając wdzięki -  
Ubogi nie miał i takiej - bo droga!  
Najpowabniejsze - z góry zapłacone.  
Mędrzec niewiastę, co go jak raroga  
Nie pojmowała, odsuwając w stronę,  
Pozostawały, jak ulga a rada:  
Traf wyjątkowy - stoicyzm - i szpada!  
Syn Aleksandra przezierał to w sobie,  
Gdy wonie kwiatów skronie mu oblały,  
Jak posągowi na samotnym grobie -  
Więc bardzo czuł się osobny i - cały.  
- I począł Zofii odnawiać wspomnienie,  
Pieśń za śpiewaczki przyjmując sumienie,  
Lirę za postać - i z tej **dwoistości**  
Silił się **jedność** utworzyć - na próżno!  
Rozdwajała się w rękę, bez litości,  
Na pieśń i postać, jak z dniem ciemność różną!  
I czuł - że klamać począł, acz niewinnie.  
I czuł - że działać począł dobroczynnie -  
I umęczył się bardzo tą robotą  
Bez-narzędziową -  
I wstał - kosz wziął w ręce,  
Na łoże sypnął nim, z ową pustotą

Niezgrabną, którą gesta niemowlęce

Psują rzecz, cale nie troszcząc się o to –

-----

Lampa u schyłku promień niosła drżący -

On leżał na kwiatów stos, jak człowiek śpiący.

\* Pitagoras około dwudziestu lat w Egipcie, także podobno w Galii i w Indiach; **Lao Tseu** z Chin.

\*\* W Efezie po wygnaniu jednego obywatela wniesiono prawo tak brzmiące: „Niech nikt nie śmie nikogo w niczym przewyższyć!”

\*\*\* Wiadomo, czemu np. Sokrates już nie mógł używać poufnego sposobu nauczania, ale mawiał przypuszczając zawsze naprzód, że słuchacz wie dobrze, co mu powiedzieć miał.

\*\*\*\* **Cichoście, cichość**-wzięte jest postaciowo.

\*\*\*\*\* Jest to napomknienie gwoli obyczajowi, jaki był u starożytnych, iż krzykacze płatni u wejścia do teatrów obwoływali wdzięki sławnych kobiet etc.

\*\*\*\*\* **Pólmisek na stole**, albowiem zwyczaj [był] przy uczcie traktować kwestie socjalne i filozoficzne.

## XXI

Wieści, co pierwaj krążyły po Rzymie

W sposób nie dosyć jasny i czytelny,

Zaczęły postać przybierać i imię:

Z Bretanii pono generał naczelny

**Severus Julius** wrócić miał niebawem,

Także legiony z dawna nie widziane

Cesarza wolą ściągano, czy prawem

Nowym? - Te nocą nieraz, jako ścianę

Równą, księżycą bielmem wyjaśnioną,

Napotykałeś, ustępując z drogi,

A czuleś ścianę gmachu poruszoną,

Mierzonych kroków masy szmer złowrogi.

- Orły, co w bramę głową pochyloną

Szły na chorągwiach, wojenne maszyny

Skrzypiące w marszu: cały system żywy  
Energii, tudzież zagład i perzyny,  
Elastycznością swą, miarą i siłą  
Przerażał wszystko, co się doń zbliżyło -  
Tak że widz w sobie powtarzał zdumiony:  
**„Bóg to Rzymianom wymyślił legiony!”\***  
Niektóre domy wraz drzwi zamykały  
Same, lub wiatru osobnym podmuchem,  
Nim żołnierz otarł je ramieniem z skały.  
Innych na dachy **legion** ciągnął duchem,  
Porywał oczy, kwiaty z rąk padały.  
Moc jakaś pierwej szła przed szeregami  
Tych obnażonych kolan i tych ramion,  
I grzyw na hełmach - a wodzowie sami  
Zdali się trzymać ją w **literach znamion**,  
I magnetycznie giąć tymi członkami,  
Kutymi w miedzi błyszczącej obręcze;  
Zbierać je w chmury, w grzmot - rozwijać w tęczę.  
Dramy aż naszej osoby to czuły;  
Zofia nieznośną była dla służebnej;  
Struny się liry nietykanej psuły;  
Mag z lekarstwami swymi - tak potrzebny,  
Jak niewidzialny dla ciężkiej słabości;  
Barchob, **zmieniony jak nie swa osoba** -  
Odprawujący **niemo** natłok gości;  
Mistrz Artemidor, wzywany co doba  
Do cesarskiego gmachu lub ogrodu;  
Pomponius nawet, odwłoka zachodu  
Około uczyty w Villa Pomponiana,

Zmieniony nieco –

Więc - **Elektra-diwa**

Sama - wśród tylu ruin niezachwiana,

Tylekroć więcej świetna - i szczęśliwa!

Nikt wszakże jasno nie widział przyczyny

Tak niefortunnej odmiany powietrza -

Mag tylko mówił - słysząc: „Są godziny

Różne - ta cięższa godzina, ta lżejsza;

Ta ma rozedrzeć, ta znów złączyć może.”

To mówił mędrzec, skarżąc się na łoże - -

\* Wyrażenie **Flaviusa Vegetiusa Renatusa**: *De re militari*.

## XXII

Syn Aleksandra stał przed Zofii łóżem,

Grecki mającym kształt - perskie kolory -

I te jej słowa mówił:

„Mag jest chory -

Któż może zdrów być? - sami często mnożym

**Choroby**, to jest, chcę mówić - **cierpienia**.”

Zofia rzuciła okiem na służebną,

A raczej bielmem oka, bez wejrzenia:

Czy szyje - rzecz jej całę niepotrzebną -

Zwyczaj to wszakże, od czasu do czasu

Na niewolnice okiem tym spojierać,

Jakoby pracę śledząc, bez hałasu - -

Nie - by się na tej czujności miał wspierać

Interes żyda, jak gdzie w domu biednym -

Lecz że się zwyczaj taki stał powszednym.

To Egipcjanka czując, nim się stało,  
Sunęła żwawiej swoją ręką małą.  
Syn Aleksandra błędnym okiem rzucił,  
Czy tuż stojącej liry nie wywrócił? -  
I wyszedł - Zofia, na to bacząc mało,  
Zasnęła-

Chwilkę, ktoś idąc, zanucił:

(Śpiew przechodnia\*)

-----  
„Tam Hektor, gdy swojej nie znalazł **jedynej**,  
Ku progom znów wrócił, służebnic wołając:  
Ej! mówcież mi, dziewczki, słowami szczerymi,  
Andromaka gdzie znikła łabędzio-szyja? -  
U mych-że sióstr? - w szaty świąteczne ubranych -  
Czy gwoli prósb wyszła z Trojanki drugimi  
Ukoić gniew bujnie-warkoczej Atenę? -  
Ej! - mówcież mi, dziewczki, słowami szczerymi - -”

Zofia, gdy pierwsze usłyszała słowa,  
Do sługi rzekła: „Stało się wybornie,  
Iż gość odeszedł, bo jestem niezdrowa.”  
- Tu Egipcjanka, kłoniąc się pokornie,  
Rzecz: „Udatność naśladować bogów,  
Na palcach sunął od łoża do progów” -  
I szyć poczęła z niezwykłym pośpiechem,  
Gdy pani uchem szła za pieśni echem.

\* Nie trzeba sobie wyobrażać **pieśni** w znaczeniu muzycznym tego wyrazu; są te wiersze z *Iliady*, VI pieśni.

### XXIII

Lucius Pomponius leżał od niechcienia  
Na łożu\*, skórą lamparta przysłanem,  
I piórem pawim lekkie rzucał cienia  
Na twarz Elektry - ta wygiętym stanem  
Łączyła swego poduszkę siedzenia  
Z krawędzią łoża, jak owca znużona,  
Kiedy spoczynku szuka na pustyni,  
Kłękając przodem. - Wieńców miała kilka  
Na rękę\*\* - długie bardzo zausznicie -  
Jaskrawe oczy, dziwnie pełne lice  
I wargi, jakby je spinała szpilka.  
Słowem - że, gdyby nie pewne ruszenie  
Ramion i silny śmiech, z diwy takowej  
Byłoby bardzo przystojne stworzenie -  
Lucius tak mówił: „Nie czuję się zdrowy” -  
I pogardliwy gest dodawał nogą,  
Jak, ze złym koniem wjechawszy na rowy,  
Przeskoczyć wąpiąc, uderzasz ostrogą -  
„Niezdrowy jestem” - i gwał pióro pawie,  
Chwiejąc nim: „Chory nawet jestem prawie.”  
„Pracujesz nadto w poetyckiej szkole  
U onej sławnej Zofii” - rzekła diwa.  
Pomponius na to: „Czytasz mi na czole;  
Trudzę się - śmierć stąd - ale śmierć szczęśliwa l”  
Tu - piórem pawim pociągnął po stole.  
Elektra smutek skłamała na licach,  
Pomponius rękę podał jej leniwo,  
I w dwóch - bez ognia - błysli błyskawicach -

„Bądź mi szczęśliwy!”  
„Bywaj mi szczęśliwą!” -  
Pomponius tymże Elektrze rzekł tonem,  
Ale co dalej mówić? - nie wiedzieli,  
Iż, osmuciwszy się zawczesnym zgonem,  
Zbyt blisko czuli siebie i widzieli.  
Więc - była chwila milczenia - po onej  
Pomponius, wina wychyliwszy czarę,  
Zarzucił głowę w tył, jak wywrócony  
Konaniem. - Rzeźby nam podają stare  
Twarz Aleksandra, gdy konał, i szyję,  
Gdzie krew, ścinając się, w żyłach się wije.  
Owóz, okropny mniej, jakkolwiek wiele  
Zbliżony, widok Pomponius przedstawiał,  
Niedocieczone k'temu mając cele,  
Lub dramy miłość, iż w ową się wprawiał.\*\*\*  
Elektra z strony swej chciała podobnie  
Usmętnić lica - i nie mniej nadobnie -  
Gdy tak Pomponius rzecze: „Umiejętność  
I **Zofia**-albo: **scjencyja** i **ona**,  
To życia mego drama i namiętność -  
Miłość jednakże ma jest-że dzielona?  
Jest-że pojęta? jest-że zrozumiana?”  
To mówiąc, piórem oznaczał akcenta  
Mowy, jak retor, gotując się z rana  
Do wystąpienia w ciągu dnia. „Pojęta? -  
Nie wiem, dzielona? - zaiste;  
Zaś zrozumiana? - mniej niż oczywiste -  
Słowem - Elektro luba! - „

„W tym mówieniu  
Jest **coś, co nie wiem**” - Elektra odrzecz  
Z iskierką blasków niezwykłych w spojrzeniu.  
Na co wręcz Lucius Pomponius: „Nie przeczę.”  
I wstał, lecz widno było mu z tym raźniej,  
Iż czuł, że zazdrość tej aktorki drażni.  
„Czekaj! - nie wyjdiesz!” - zawoła wraz diwa,  
Przeiętą ręką dzban kłoniąc ku czarze,  
W którą się wina lała wstęga krzywa.  
„Oto i świeży wieniec przy pucharze,  
Na koniec uczyty zgotowan umyślnie -  
Pij - i o Zofii mów! - to cię uzdrowi.”  
- Tu, jak syrena, z fali gdy wybłyśnie,  
Ramiona białe mknąc ku żeglarzowi,  
W ogrzane słońcem aby zeszedł fale,  
Ku Luciusowi Elektra tak samo  
Amfi-serdecznie, tak samo niedbale,  
Z przewyższającą go poczęła dramą –  
„Jest-że ta Zofia piękna? - Że uczona,  
To wiem - jakie ma oczy? - i ramiona?”  
- Co wszakże mówiąc, usta jej znikają  
W drzeniu, iż rychłe czyniła pytania,  
Gdy Lucius więcej zdawał się niedbały  
Ku odpowiedziom, i baczył te drgania,  
Jak rybołówca śledzi pióro wędki:  
Tym lepszy w sztuce swej, że niezbyt prędko.  
Scenę tę, w ścisłym znaczeniu wyrazów:  
**Scenę** - chód przerwał znany, głośny echem  
W przysionku z gładkich budowanym głazów;

Tylko z niezwykłym gościowi pośpiechem -  
I w rozrzuconej upięciach zasłony  
Florus się zjawił, wołając: „Nowina!” -  
„Cóż? wyrzuc z togi?” - „Janus otworzony!” -  
I tu uśmiechnął się - „Jeśli nie, wina  
Twoja! - Pomponius odpowie mu luźno -  
Żeś wojnę przegrał, przychodząc za późno!”  
„Owszem, tryumfuj ty i wszystko twoje,  
*Quod felix faustumque sit*” - to rzekł do diwy.  
„Przynoszę wszakże wieść, iż niepokoje  
W Judei wymiar biorą - niewzgardliwy -  
Coś rzeczywiście podobnego wojnie -  
Acz Janus może spoczywać spokojnie.”  
Pomponius, który przed gościem przybyciem  
Zdał się pogardzać i śmiercią, i życiem,  
I zalotami diwy, i istnieniem,  
Jak nadużyty człowiek w onej porze,  
Kiedy jest bliski odwionięcia cieniem  
Tam, gdzie, nic nie chcąc chcieć, wszystko się może:  
Skoro jednakże służyć począł wieści,  
Niewłasne w niego wstępowały drgnienia -  
Acz nie dla jakiej stąd wysnutej treści,  
Która by wskrzesić miała ruch sumienia,  
Tylko że szlachcic rzymski najmniej dzielny  
Jest **politycznie** człowiek nieśmiertelny.  
Więc i ton jakiś nastroiwszy nowy,  
Pytał o źródła zamorskiej powieści:  
Ile w niej prawy głos ? ile ludowy ?  
Brzmieć mógł. - „Bez bogów wychowany części

Lud, jako Żydzi są, **bez bogów, mówię**,  
Uznanych prawem w sposób przyzwoity,  
Ani bez wiedzy, która w swej osnowie,  
Przez ogólnego głosu sens wykryty,  
Za ster i stylu nam iglicę służy,  
Cóż wyda? - oto wzburzy się i **zburzy!**”  
To gdy powiedział, sam usłyszał potem:  
Tak, nieumyślnie wyrzekłszy przysłowie,  
Spostrzegasz później, czy służyło mowie? -  
Czy cudzym trafnie uderzyłeś grotem? -  
I dodał: „Gdyby mi służyło zdrowie,  
Ściągnąłbym rękę po stopień ojcowy,  
Zawdziawszy pancerz nabijany złotem.”  
Mówiąc to, macał się po wierzchu głowy,  
Jako gdy hełmu poprawia wojownik,  
Ramieniem przy tym robiąc, jak pułkownik.  
Diwa mu płaszczem piersi obrzuciła,  
Coś Andromaki mając w tym ruszeniu;  
Florus zaś, puchar jej, że nie skończyła,  
Na raz wychylił - i siedli w milczeniu.  
„Ty przywiózłbyś mi wschodnie zausznicę,  
Ty byś ornaty przywiózł mi z kamieni” -  
Mówiła - licem w Pomponiusa lice  
Kłoniąc się, jako róża na jesieni.  
„**Ja Żyda** nie znam żadnego - **co oni?** -  
Czy są tam ludzie porządni w Judei? -  
Bogaci w sługi? ~ czy każdy ich stroni,  
Brudnych, gdy taczki wodzą po kolei,  
Po drugiej Tybru głębokiego stronie,

Mularzom służąc i drapiąc się w skronie?  
- Żyd mię nie kochał żaden - czy wy znacie  
Żyda do rzeczy? „ - te rzucała słowa,  
Tu, tam biegając w krótkiej swojej szacie,  
Ta nieskończenie wdzięczna białogłowa,  
Gdy Florus z Pulchrem milczeli -  
Po chwili  
Drugi rzeki: „Mag mi na pamięć przychodzi.”  
« A Florus zasię: „Mniemałżebyś, czyli  
Ten - jeśli Żydem jest - jeśli nie zwodzi  
Głos ludu - mógłby wieści zgadnąć wagę?” –  
Elektra na to: „Mag! Mag! czy się godzi,  
Że nie znam! - będę sobie mieć za plagę,  
Jeśli mi tego me sprowadzisz Żyda,  
Któremu matron senatorskich tyle  
Zwyczaj ma wolne swe poświęcać chwile.  
Mądryś - mnie więcej uczoność się przyda,  
Mnie, że nie jestem w filozofię wprawna,  
**Jak która inna stara - chcę rzec: dawna?**

-----  
Ale - tyś nie rad mnie pokazać - jemu?  
Ale ty może nie jesteś z nim blisko ?  
Ale ty smutny - chory? - spytaj - czemu? -  
Maga się poradź! - odmień mi nazwisko! -  
Przebierz mię - powiedz, że twa jestem krewna;  
Chcę znać go - poznam? - poznam - jestem pewna.”

\* Trzeba pamiętać, że leżeć, pokarm biorąc, przyjęte było.

\*\* Na płaskorzeźbach spotyka się, iż kobiety greckie, przy łożach w czasie uczt siedząc, wieńce nawleczone na rękę prawym miewały.

\*\*\* Tak wielu modnisiów starożytnych poklaniało na przykład głowę ku ramieniowi, z powodu iż Aleksander

## XXIV

Politycznego jeden obrót wiatru  
W ciele tym, ściśle politycznej treści,  
Naszego scenę odmienił teatru -  
Tak że powrócić gładko do powieści  
Byłoby ująć z prawego jej toku.  
Domy na **piasku** lekkim budowane  
Powodzi pluskiem odjęte są oku;  
Tylko, gdzie **skała** podtrzymuje ścianę,  
Nad mętnej fali trwają szaleństwami.  
Podobnież z ludźmi i społeczeństwami!  
Kto słaby, **chorzał**, a kto nie był chory,  
**Cierpiał** - i zdały się rządzić **humory**,  
Które są jako cugi powietrzane,  
Dotykające, lubo niedotkliwe,  
Po bólach tylko otrzymanych znane:  
**Krzywe** na proste, a **proste** na krzywe  
Paraliżując w człowieku zbiorowym –  
Co - że zapomniał się nim - jest niezdrowym.

-----  
Do kogóż wrócić w tej powieści całej,  
Gdzie wchodzi **ludzie**, a nie **idealy**?-  
Na łóżach jedni, drudzy **poza sobą** -  
O wszczętej inni dyskutując wojnie,  
Obecną, rzekłbyś, iż wzgardzili dobą  
I odpoczęli w ruchu, niespokojnie:  
Jakoby pierwiej chcieli rozstrzygnięcia

Rzeczy, bynajmniej ich nie obchodzącej,  
Nim do powszednich powrócą zaczęcia.  
W mowy ogóle, w ogóle pojęcia  
Fałsz jakiś, **zapał** jakiś **nie-gorący**  
Rządził, i ludzie bywali chwilami,  
Jakoby sobą nie władnęli sami.  
- Ten to powiadał, co zasłyszał mętnie,  
Zuchwale broniąc, bo nie swojej rzeczy;  
Ów, że to uczył, słuchał obojętnie -  
Ten, obojętność, mniemał, iż mu przeczy,  
Więc wieść podwajał, by zrobić wrażenie,  
Wywoływając tym większe zwątpienie.  
Gniew stąd w powszednie wmieszał się pożycie,  
Jako element potrzebny koniecznie -  
I darło się to zewnętrzne okrycie  
Ładu - co ufać radziło bezpiecznie.  
Nie - iżby rozruch w prowincji dalekiej,  
Mało ważony nawet przez Cesarza,  
Zagrażał państwu - lecz że dni i wieki  
Często niewielki wypadek przetwarza  
I, większość sobie obracając na tło,  
Całej epoki garnie na się światło.  
**Prawda** to cudem czyni, ale - bywa,  
Że i **Ironia** w ten się płaszcz odziewa,  
Ta siostra Prawdy urzeczywistnionej -  
Głupia! - w zazdrości swojej dla **natchnionej**,  
Podrzeźniająca gestom jej, w mniemaniu,  
Że uwielbienie podda urąganiu.  
Acz jest to siła! - lecz dwojakiej treści:

Bezwłasnowolna - przez ucisk powstała,  
Która się rodzi z nadmiaru boleści  
**I współ-leż** nie ma, bo **się przecierpiała**,  
Współczucie tylko ma złączone z racją,  
Zimna i pewna w zasadach, jak skała -  
Tudzież ta, która, władnąc fascynacją,  
Gore, a zawiść z nią, sztuczna z nią chwała  
Samozwaństw, chcących być arystokracją\* -  
**Fascynacja** zaś składa się, nie rodzi -  
Czym zaś jest **przez się?** - nie wiem, ani zgadnę;  
To tylko jedno dodam: że pochodzi  
*Od fasces*; jest to coś - tragicznie-żadne.\*\*  
Przez labirynty te, nie budowane  
Głazami, z ludzkich uwiane żywotów,  
Hieroglifami pozapisywane -  
Duch, jako powój wśród chruścianych płotów,  
Gdy się przewinie raz, umierać gotów.  
Tak żal mu własnej siły, że dotrwała!

-----  
Duch zaś - gdy umrzeć chce, to pragnie ciała.  
Od progów Zofii syn Aleksandrowy  
Niósł się jak drzewo z posady wyrwane,  
Gdy Akwilonem jest podejmowane  
I idzie, wieniec otrząsając z głowy:  
Upadku miejsca błędną szuka nogą,  
Zniszczenie mając i celem, i drogą.  
„Czemu? - że jedno zimne go spojrzenie  
Jak włócznie poszturch na skroś nie przebiło -  
Czemu? - że nie ją, jej ukochał cienie -

Albo nie znalazł w niej, co mu się śniło -  
Lub chciał, ażeby te wiedziała rzeczy,  
O których mniemał, że wiedzieć powinna -  
Mąż nierozsądny! - I któż go uleczy  
Z rany, co tyle krwawa i niewinna?  
- Miałaż więc ona zgadywać **te słowa**,  
Których się brzmienie powierza kamieniom,  
Iż serc nie mają - a ludziom się chowa,  
**Iż mają - mogą mieć?** - które **sumieniom**  
Są jako morski żwir strusia wnętrzościom,  
A jako zbroja ordzewiała - kościom? –  
Nie rozsądniej-że było wziąć na stronę  
. Niewiastę one? - - - - -  
- - - - - i sylogistycznie  
Rzec jej: „Uzucie dałaś za mamonę  
I mniemasz, że d z tą zamianą ślicznie -  
I jesteś głucha na okolne bole,  
Na mozaikowym oparłszy się stole,  
Który-ć odbija łokci alabaster -  
Jako strumienia dno, pstre kamieniami;  
A pieśń twa słodka jest - a miodu plaster  
Z nie tylu kwiatów, nie tylu pszczołami,  
Nie tylu kręgi lotów ich uwity,  
Wdziękami ilu rym twój znamienity.”  
To gdyby była dosłuchać łaskawa  
Do końca treści, możnać by i dalej  
Tłumaczyć: ile? jak? i gdzie? ta sprawa  
Serca - płomieniem się niszczącym pali.  
Wątpliwość każdą wyjaśnić przykładem,

Ominąć każde wewnętrzne zjatrzenie -

I tak przepoić się jej własnym jadem -

-----

A własne jednak dotrzymać sumienie;

I - stać się dla niej wydeptanym śladem,

Po którym nawet i nieme kamienie

Bez krzywych zboczeń mogłyby się sunąć -

A potem - jad ów, wyssany tak, splunąć -

I - że się ciężar przestało już nosić:

Upaść mu jeszcze do nóg - i przeprosić -

-----

Wtedy - o! wtedy ona by widziała

**Wszystko, prócz ceny prawd** - i wszystko w tobie

Ceniła - prócz twej krwi i twego ciała!"

-----

Słów tych wewnętrznie młodzieniec domawiał,

Jakoby obca, rozsądna osoba -

Gdy w grupie ludzi potrafił Barchoba,

Który z rzeźnikiem stał; drugi oprawiał

Baranka, białe zeń ściągając runo,

Krwią dookoła rumiane ciepława,

Jak gdy okrycie kto rozłącza z ławą,

Pierw do siedzenia miękkiego zasłaną,

Lub naklejone obicie ze ścianą.

Było to bowiem miejsce **Placem** zwane

**Przedajnym** - gwarne, wilgotne, zaulne\*\*\* -

W upały nawet, że nie zamietane,

Temperaturę mające szczególne

I coś szarego w powietrzu jak pyły.

- Tu, tam, wnętrzości leżały na bruku,  
Indziej się kwiatów wieńce czerwieniły -  
Ptasząt śpiew wmięszan do powózek huk,  
A do cięć głuchych w mięso ludzka mowa,  
Dawały temu obrazowi **całość**  
**Ducha w rozpacz**y, gdy wyczerpnął słowa  
I zaniepoznał, co radość? co żałość?  
A widząc **rzeczy-różnicę**, nie **rzeczy**,  
Gdy twierdzi nawet coś, to wstecznie przeczy.

Barchob, ud kupna odwróciwszy lice,  
Napotkał oczy przechodnia ku niemu  
Zwrócone, jako letnie błyskawice,  
Lecz te wraz gestem pytającym: „Czemu?”  
° Usunął, sprawę swą kończąc z rzeźnikiem.  
- Dziewczyna jakaś przeszła między niemi,  
Naczynie niosąc bełtające mlekiem -  
Jak łani, ledwo że tykając ziemi.  
Ta zawołała: „**Quidam?**” - za człowiekiem,  
Który szedł, koszem do pół osłonięty,  
A ziół i kwiecica woń powiała wkoło  
Ostra, jakoby woń koszonej mięty;  
Syn Aleksandra schmurzył blade czoło,  
Nie mogąc pojąć milczenia Barchoba,  
I szukał okiem, zali się nie myli?  
- Gdy ruch się zrobił w tłumie - tak że oba,  
Za tłumem, w jedną stronę się zwrócili.  
W głębi zaś placu powstała rąk chmura:  
Lud na bez-sprężne powskakiwał bigi,

„**Wól! wól!** - wołając - **święty!**” - przy tym: „**Hurra!**” -

A podbiegając z krzykiem na wyścigi,  
Kapłańskie sługi, w podkasanych szatach,  
Z stryczkami w ręku sunęli po kwiatkach,  
Po koszach, w błoto ległych z owocami.

Kapłańskie sługi biegli ze stryczkami,  
Gdy wśród zwichrzenia tłumu rogi złote  
Byka, co one rozganiał hołotę,  
Jakoby księżyc za ledwo wschodzący  
Na ziemię zleciał, toki nierównymi  
Siekły przez obłok ludu pierzchający,  
Od ziemi w górę i z góry do ziemi.

Policja rzymska w tę wmięszana sprawę  
Organizować poczęła wyprawę,

Głosząc: „**Schwytany ma być! jest schwytany!**” -

Włóczyniami tłumy cofając do ściany.

I wraz porządek gwałtem rósł, gdy szpiegi

Skoczyli niemniej szykować szeregi -

Czas, w którym człowiek z toporem na ręku

Uderzył w ramię młodzieńca z Epiru -

Szukającego w gwarze tym współ-jęku.

- Tknięcie to, wzgardy pełne, twarz nieznana

Męża z toporem onym - tak dobodły

Poniewieraną wrażliwość młodziana,

Iż ściągnął k'niemu leniwą prawicę,

Leniwą wargą drgnął i wyrzekł: „**Podły!**” -

Ale już wtedy, gdy go jak kotwicę

Zgiętego rzucił o ziemię.

„**Prze-bogi!!** -

Tłum zaczął wołać-**morderstwo Kapłana!**” -  
Zwłaszcza iż wołu właśnie złote rogi  
Ujęto stryczkiem, a rzesza wezbrana  
Nie miała ujścia chuciom ani drogi.  
Policja z swymi skoczyła włóczyniami,  
Gdzie Aleksandra syn trzymał pod nogą  
Męża-a **jakiś ogrodnik** słowami  
Łagodził rzeszę pachółków złowrogą,  
Co krwawe stryczki nosi i kadzenia,  
Ilekoć żertwa jest gdzie do spalenia.  
„**Puszczaj!**” - zawoła setnik, gdy młodzieniec:  
„**Niech zaraz rzuca topór!**” - k’czemu zasię  
Ogrodnik dodał: „**Z toporem szaleniec!**” -  
A setnik ręką skinął - w tymże czasie  
Kapłański sługa wyrwał się - a potem  
Brazowy topór jak ptak z rąk mu sunął,  
Powietrze skrzydłem swem przekroił złotem -  
Padł - Aleksandra syn zadrżał i - runął.  
Krwii sute pasmo fontanną wraz krzywą  
Z początku bystrzej, potem szło leniwo,  
Kolana widzów pieczętując nagie,  
Wokoło trupa ciepłego zebrane -  
Utrzymujące ciało tych równowagę,  
Które traf skupił i ułożył w ścianę.  
Trup się po bruku przeciągnął płaszczyźnie,  
Podając rękę ku niebu, jak w chwili,  
Gdy naciągany łuk ci się wyśliźnie -  
I rzekł: „Na targu - konać - jak w ojczyźnie  
Konać - wyśmiewa się z siebie ironia.”

- Coś jeszcze mówił, gdy doń przyskoczyli,  
Lecz oderwała słowa ust agonia,  
Których świat niewart, a śmierci są łupem:  
To zaś, co podjąć jęto, było trupem.  
Ogrodnik tylko, obecny tej sprawie,  
Wyciągnął rękę i rzekł: „Błogosławie  
Duszy twej - a wy! co **znaczy** skonanie  
Młodzieńca tego, kiedyś się dowiecie -  
Którzy jesteście ślepi Kainanie,  
Rozbijający braterstwo na świecie,  
Obrazy stawiać własnego zbłąkania  
Czynami, z których każdy **was odsłania-**  
I jako scena w teatrum naucza,  
Do prawd zakrytych by szukano klucza -  
Bóg, gdy ofiarę nożem czynić miano  
Na niewinnego miedzianka wzniesionym,  
Nasunął owcę w ciernie uwikłaną,  
Krwia ludzką, nie chcąc, aby był chwalonym;  
I wołał przenieść ofiarne skonanie  
Nad krwi wylanie - -  
Ale wy - byka minąwszy toporem,  
W człowieczej krwi się chłodzicie - szalem!  
Tym, mówię, czytać gdy poczniecie wzorem  
Pisanie, co się w powietrzu czerwiem,  
Padniecie na twarz - „,  
„Precz z nim! - co on rzecze?” -  
Wołano. - „**Ktoś jest, ponury człowiecze?**”  
„**Czytać** - ogrodnik ciągnął, patrząc w górę  
Jakoby w pisma zwój - czytać żywotów

I skonań księgę, czytać chmurę  
I światłość czytać, zapisanie grzmotów” -  
„Tak jest” - po chwili dodał. Grecy z tłumy  
Wołali: „**Pólbóg-że zstąpił?**” - a męże  
Żydowscy: „**Ktoś ty?**” - a rzymscy: „**Człowiek bez rozumu!**”  
Rota, gwałtownie wstrząsnawszy orężem,  
Kazała milczeć lub z placu uchodzić -  
Ogrodnik rękę wznosił ponad zwłokami  
I, szepcząc, począł w powietrzu nią wodzić,  
Jako gdy w rolę rzuca kto ziarnami.  
- A szept ów służył jemu za nasienie,  
Gdy mąż-**libertyn\*\*\*\***, pod-setnik, co wszczyna  
Marsz, gdy w szeregach równają golenie\*\*\*\*\*,  
Zawołał: „Człowiek ten szepcząc przeklina! -  
Chrześcijański to pies!” - a kapłańskie sługi  
Stryczkami k’niemu puścili krwawemi,  
Jako gdy brudne wiatr ogarnie strugi  
Z dachów, i luną z tak równym hałasem,  
Że, z **góry**, nie wiesz, trysnęły czy z **ziemi?** -  
I - niezadługo - w zawierusze tłumy  
Widziałeś Gwida skroń lub ramię czasem,  
A czasem sznura tylko silne drgania,  
Co tu i owdzie chwilowo rozgania,  
Jak gdy przewoźcy ciężar wleką promy  
Nierównym chodem, po nadbrzeżnym piasku,  
Przy upominań się wzajemnym wrzasku.  
I niezadługo na tym placu gwarnym  
Zamknięte tylko kupczących szalasy  
Stały szeregiem milczącym i czarnym.

- Zachodu słońce, purpurowej krasy,  
W błota się szybach mętnych odbijało;  
Młodzieńca cichy trup leżał, okryty  
Kwiatami z koszów gwałtem wywróconych -  
Pies jakiś wietrzył krew - - jakieś kobiety,  
Przechodząc, kilka róż mało zbuczonych,  
Podniosły - cicho było i zielono  
Na bruku, który właśnie opuszczono,  
Podobnym, z barwy, miejsca i wspomnienia,  
Do **wag-rzeźniczych** - te, z urzędzeń zmianą,  
Z ciężkiego nader że były kamienia,  
Do nóg męczeńskich gdy przywiązywano,  
Krwi nieraz świętej bywał na nich napis,  
Skąd kamień wag tych zwą: *martyrum-lapis*\*\*\*\*\*

\* Arystokracja - *ares, aristos*, po łacinie *praestantissimus*, albo bystry, bystrzejszy, najbystrzejszy; *arostos* znaczy także: wyborny; *kratos* — moc, władza, potęga; jednym słowem, *aristokratia* znaczy: najznaczniejszych-władztwo.

\*\* *Fasces* - **pęk-lóz** noszony przez liktorów na znak czujnej dyscypliny rządu. - Że pierwsza zwłaszcza epoka prawa rzymskiego - sabińska - obejmowała w praktyce swej **cały rytuał mimiczny**, *fasces* takie pewnym sposobem wnoszone gdzieś, wywierało magnetyczny urok. - Należałoby, aby czytelnik bliżej by, obznajmiony z treścią życia społeczeństw starożytnych - czego **literalne ksiązek samych czytanie**, bez czytania pomników sztuki niepisanej i żywotów współczesnych, o ile są tradycyjnymi, nie nauczyaby z tych słów pojął, o ile i jako filologiczne pochodzenie wyrazu *fascinatio* wywodzi się od *fasces*. Były różne akcenta mimiczne nierozłączne z odwoływaniem się do prawa, a właściwe naturom spraw przed trybunał wytaczanych, i prawie nie mniej od samejże **litery kodeksu ważne**. Ale do powieści niemiejszej dopiski tak szerokie mogłyby być zanadto mnogie - zostawia się je przeto uwadze i studiom czytelnika.

\*\*\* Zaulne od zaułek.

\*\*\*\* Mąż-**libertyn** znaczy: w Rzymie z niewolnika i niewolnicy urodzony; za Tybrem było ich przedmieście.

\*\*\*\*\* Linie w wojsku równały się po goleniach.

\*\*\*\*\* Kamień podobny do agatu jasno-zielonego, z którego wagi robiono, a potem, zmieniwszy je, używano ten ciężar w męczeństwach, rozmaicie go stosując; pierwiej zwany przeto *aequi-pondus*, potem zaś *lapis-martyrum*.

## XXV

Jak przez **czasowe** gdy kto **wieczne** słyszy  
I folgę daje obecności gwarnej,  
Bacząc, czy odgadł, **gdzie jest?** - bacząc w ciszy,  
Której treść wielka, lubo pozór marny -  
I próżen rzeczy znikomych kwapienia  
Próbuje tylko, ile mu jest dano  
I wolno swego uchylić sumienia  
Za cyrk, gdzie jeszcze walk nie dokonano:  
Tak Jazon, wieścią choroby okryty,  
Samotnie wschody liczył i zachody -  
To przed domostwem siadując jak wryty,  
Niewiele baczny na wieczorne chłody,  
To od przysionka przechodząc wzdłuż sali,  
Gdzie drży fontanna i lampa się pali.

Zamorskich mężów mniej już zachodziło  
Do drzwi Magowych pukać i przed domem  
Czuwać - i jakby się coś dokończyło  
W teatrum, pierwiej co chwila ruchomem -  
Znikli. - A jeśli poranił kto osoby  
Do tyła ciche, to gdy sam był w stanie  
Uciszyć niemniej własny zmysł i doby,  
Która się raczej miała na wezbranie -  
I obfitością trafów, mniemań, wieści  
Radziła, owszem, wybiegać poza nie  
I szukać, czego szuka się w boleści  
Krzykiem, lub czego myśl pożąda w czasie,  
Lecz co jedynie w duchu spotyka się - -

Więc, co pierw było, skryte jest zasłoną  
Pewniejszą, niżby z głazów ją robiono,  
Zdziwienia nawet nie zostawującą,  
Jak nie zostawia zdziwienia na świecie,  
Że starzec umarł - zrodziło się dziecię.

Przechadzkę swoją po izbie, niechcącą,  
Prowadził starzec krokami równemi,  
Gdy w drzwiach otwartych stanął mąż nieznany,  
Bosy - że Jazon podniósł wzrok od ziemi,  
Spotkawszy nogę obcą mu u ściany -  
Tak już był przywykł ufać, iż nie inny  
Kto ? jeno Barchob u niego gościnnie.

Mąż że z daleka szedł, że w Rzymie świeży,  
Po samej łyżce z cytymskiego drzewa\*,  
U pasa jego wiszącej, z odzieży  
Także poznałbyś. - „Akiba się miewa  
Dobrze- **odgadłeś Gwiazdę i jej syna -  
Krew już płynęła** - ta jest ma nowina.”  
- Jazon ramiona wzniosł - uściskał potem  
Przychodnia, pierwej wysłuchawszy mowy,  
Jakby odległym jawiła się grzmotem -  
I zaczerwienił się w sposób niezdrowy,  
I zbladł - i rękę otarł jedne drugą -  
I rzekł: „Spoczniemy - dziś - potem na długo  
Spoczniemy - może” - i siadał wygodniej,  
Niż to zwykł czynić sam - a ręki gestem  
Wskazywał, by toż zrobił mąż przychodni.

I siedli - Jazon rzekł: „Słuchaczem jestem,  
Mów - a spokojnie - bez zdawania rzeczy,  
Co już obyło się w poselskich słowach -  
Jak odpasanych brzęk coś mówi mieczy,  
Kiedy zatyka się je w łoża głowach.  
Tak mów, bym **czasu, powietrza i ziemi**  
Używał z ciebie oddechami memi.”  
To mówiąc, rękę kładł na męża ramię,  
Skrzydłami nosa robiąc jak człek młody  
I poprawując nieuważnie brody:  
„Mów - **Posłannika** jak zgadnięto znamię? -  
Wielu ma z sobą?”

„Set było niewiele  
Konnych, co zwie się Machabejska jazda,  
Piechoty tysiąc, lecz dziś, rzekłbym śmieie,  
Dwa razy tyle wiedzie za się **Gwiazda**  
Po drogach tkanych w gałązki zielone -  
**Bareochebas!**- wążła wprawdzie świeca,  
Kiedy się jawił - ta, rzekłbyś, dziewica -  
Pacholę, rzekłbyś, mało doświadczone -”  
„**Zmężniał**”- podpowie Jazon.\*\*

„Rudo-grzywy! -  
Przychodzień rzeczce -ku **Jaboku** stronie,\*\*\*  
Ku **Dekapolis**, gdy grano w cięciwy,  
Zakłuto pod nim numidzkie dwa konie.  
Trzydziestu za to wraz na placu kładzie  
Z pancernejszej jazdy rzymskiej co najlepszej -

I nie ma-ż w sobie dorównywać szpadzie  
I nie ma-ż od swej chorągwi być krzepszy? -  
Zwłaszcza, że nie swój, ale prawie **owy**  
Pierwszy obyczaj Machabeuszowy  
Trzyma - we skrzydła dwa robiąc konnicą,  
Łucznic! środkiem: a sam na kształt głowy,  
Z ogromną ręką prawą, też z lewicą -  
Z obiema zaraz po modlitwie wszczyna  
Pieśń - a z trąb niżli się odleje ślina,  
To krew się pierwej na toż miejsce rzuca,  
Iż jest przeklęta krew - krew poganina!”

To rzekłszy, ziemię bosą zatarł nogą -  
Gdy Jazon pojrzał naokoło - potem  
Wstał - wyszedł - Barchob że nadchodził drogą,  
K’niemu mistrz płaszczą połą jak namiotem  
Wionął i gestem rzucił polecenie,  
I jako pierwej siadł - było milczenie.

Po chwili weszło pachole służebne,  
Miednicę stawiać z płóciennym ręcznikiem,  
Toż sprzęty obce, do uczyty potrzebne:  
Drewnianą konew z winem, konew z mlekiem,  
Stół, jakich w Rzymie nie ma, arfę złotą,  
Schowaną w kaptur z sydońskiej purpury -  
I piasek, którym sypało z ochotą  
Na różnobarwne posadzki marmury,  
Gałązki przy tym mając oliwnemi  
Tak odmienioną powierzchność ziemi.

Wyszło - szeroki słońca promień z góry  
W fontannę upadł, prysnął o marmury  
I tęczę wywiódł sztuczną, co na ścianie  
Szukała przyleć jako malowanie,  
Gdy Jazon, włosy zarzuciwszy białe,  
Do nóg przychodnia miał się. - „Być nie może! -  
Zawoła pielgrzym - a - broń-że mię. Boże!” -  
I począł nogi swe okrzemieniałe  
Cofać i ramię odsuwał Magowe -  
Czego Mistrz prawdę nareszcie poznawszy,  
Usunął ręce, siwą otrząsł głowę  
I prawie rozśmiał się jak dziecko - żwawszy - -  
A potem, z dziwnym na twarzy wyrazem,  
Ku arfie poszedł czerwono okrytej,  
Mówiąc: „Gdyby się serce stało głazem,  
Miałoby taki kształt!” - i pojrzał w szczyty  
Domostwa, rękę wyciągając prawą,  
Jak gdy kto burzy nadchodzącej słucha.  
Usta mu barwą zabiegły bladawą,  
Cichość się więcej uczyniła głucha -  
Przychodzień nie śmiał kropli zwać w miednicę  
I, zamiast nogi swe, ocierał lice,  
Tając, że tai łzę, płacz tającemu:  
Tak wzajem bali się pytania: „**Czemu?**”  
- Ciszę tę świętą przerwał głos od dworu  
Zabiegający, wyraźny głos sporu  
Między Barchobem a gośćmi - głos, który  
Cichł i podnosił się, i milkł w parowie,  
Dwojakiej, zda się, płci albo natury,

Głos, jaki w serio tragediach faunowie  
Mogliby jedni wywodzić na fletni,  
Lub w czasie smutnym ludzie nieszlachetni.  
- Jakoż Pomponius był to z swą przebraną  
Elektrą - - Barchob ostatnie rzekł słowo,  
I słyhać było, że się drzwi ze ścianą  
Zwarły, aż młotek uderzył na nowo - -

-----

„Oto - Mistrz rzeczce - masz ich - to - Rzymianie!

Pompejuszowi wnukowie - któremu  
**Macię winną ze złota\*\*\*\*** na ścianie

Zawiesił Judzki król lat nieco temu -”

I dodał: „Z chwili samego wyboru

Czy nie odgadłbyś *fascēs* i topom?

- O! ty, co, zamiast głupiej krwi bydlęcej,

Antyjochowych zbiłeś pięć tysięcy,

A powracając do Jeruzalemy,

Zostałeś kościół chwastami zarosły,

Niemy - i ołtarz mchem zarosły, niemy,

I drzwi spalone w żużel - gdzie się osły

Tarzały podłe - ty\*\*\*\*\* jesteś tu blisko -

Czuję cię przez łzę i urągowisko!”

„Uszczknijmyż nieco i w **jego** radości -

Przychodzień rzeczce - a jako dni osiem

Postanowił-był, osiem **dni światłości**,\*\*\*\*\*

Tak osiem godzin niech wesele znosim -

**Znosim!** - bo rzecz jest niecała - i krwawa - „

K'czemu siadając Mag rzekł: „Owo strawa,  
Na jaką stać mię” - i chleb począł łamać,  
Ale solenność odeń odchodziła,  
Jak gdy natchnieniu kto dozwolił skłamać,  
Niemocen doprząść tymże samym tonem  
Treści, co albo zupełnie wątpliwa,  
Albo wątpliwość stracić ma za zgonem -  
I chociaż szczerą jest, kłamie, bo żywa.  
Tak bowiem swego Mag Barchoebasa  
Za czekanego uważał Mesjasa,  
I wielbił **prawdę** - lecz przez opóźnione  
Złudzenie, jako przy zachodzie słońca  
Podziwiasz nieraz za dnia pominione  
Okolic wdzięki - iż bliskie są końca! –

-----

Skoro baranka napocząć mieli,  
Barchob z podrzędnym usiadł pacholęciem  
I jedli służąc, słuchając z zajęciem  
Rozmów, jakoby onych treść wiedzieli.  
Skąd chwile były tego zapomnienia,  
W których „**gdzie**” znika, a myśl ze wspomnienia  
Obecność tworzy - chwile przywołania  
Przeszłości w jawność, lub czasu przyszłego,  
Który się jeszcze oku nie odsłania:  
Coś przynoszące upajającego  
Przez oderwanie się od współczesności,  
Boskości nieco mające i czczości.  
Chwile, co dają nieśmiertelność tchnieniem,

Uobecniając treści niedotkliwe,  
A niepokoją wewnątrznie sumieniem,  
Szeptając: że nikłe są - że nad-prawdziwe - -  
Więc, takie wina popiwszy kielichem,  
Godzisz się wreszcie z myślą, żeś jest lichym -  
Nie, iżbyś szukał znizenia się w zwierzę,  
Lecz że, nie będąc duchem, twierdzisz: „**Wierzę!**” -  
A twierząc, konasz rozumem doczesnym,  
Stając się wiecznym, ileś nad-spółczesnym.  
Tak ludziom na śmierć idącym się daje  
Puchar\*\*\*\*\* - i w innych też chwilach solennych  
Stwierdzają prawdę oną obyczajem  
Ludów bynajmniej sobie nieościennych.

Właśnie tak Jazon kielich wzniosł - gdy z dworu  
Stuk młotka zabrzmiał, a potem ten samy -  
Lecz już jak cięcie obuchem toporu.  
A dalej poświst zawias, co od bramy  
Wypartej darły się wstęgą brązową,  
I tupot skorych nóg zmieszany z mową - -  
Mistrz wstał, lecz w chwili, gdy miał się ku sieni,  
Liktorów weszło dwóch i znaczna rota -  
Co widząc: „Bądźcie albo pozdrowieni -  
Rzekł - albo niecznie zmyliliście wrota.  
Cesarz-że pisze do mnie?” - Liktor na to  
Pierwszy: „Litera, którą trzymam, złota,  
Mówi, że **skazan jesteś na wygnanie,**  
**Ty - filozofy - tudzież chrześcijanie.**”\*\*\*\*\*  
Co rzekłszy, zaciąg czynił straży zbrojnej,

W przysionku stawiać szepczących żołnierzy,  
Jak człowiek, swoje gdy pełni, spokojny  
I zimny - pełni to, **co się należy** -  
A łatwość w tym ma utrzymania rzeczy,  
Iż sam nie wątpi i nic mu nie przeczy.  
„Kończmy!” - rzekł Jazon i puchar wychyli!,  
Ale ust nieco kielichem omylił  
I - do setnika palec niosąc - rzecze:  
„**Kajus\*\*\*\*\*** - posłuchaj, służebny człowiecze -  
Cezar, czterokroć zwań Imperatorem -  
Pierwszy raz Konsul - także Dyktatorem  
Nazwany wiecznym, księciu Hirkanowi  
W umowie głównej głosi i stanowi:  
Iż, skoro posły żydowskie przybędą,  
Z senatorami na igrzyskach siędą  
Patrząc, jak rzymski chłop się w cyrku bije.  
A gdy zanoszą skargę do senatu,  
**Tedy** - jeżeli Rzym trwa, Cezar żyje  
I, jak panować ma, panuje światu -  
Dnia dziesiątego po listów złożeniu  
Dyktator, albo pułkownik konnicy,  
U Żydów onych stanąwszy w przedsięniu,  
**Zapyta, czyli chcą z nim iść lennicy** -  
Rzym-że trwa jeszcze ? Cezar jak się miewa?” -  
To mówiąc, kaszlać począł nieprzytomnie,  
I chwycił łyżkę z cytymskiego drzewa,  
I obracał ją w ręku - -

„Ile do mnie  
Rzecz ta należy? - zawoła przychodzień -  
Jam nieznamy gość tu - wam zaś - zbrodzień!  
Jam jest z powstańców mąż - obcy Magowi.  
Czyńcież, co czynić macie - czyńcie zdrowi.”

Mistrz Jazon, słowa te słysząc, wznosił rękę  
I popychany żołnierstwa poskokiem,  
Wołał: „Coś w wietrze czuję - jakby **mękę**  
Człowieka - krzyże - pod ciężkim obłokiem,  
Przy Jeruzalem - na Trupich-Głów Górze” -  
I padł, po piaskiem zasłanym marmurze  
Skroniami miecąc gałązki oliwne,  
Co zdały mu się uwieńczyć siwiznę.

\* Drzewo **citim**, którego robak nie toczy.

\*\* Wyobrażenie patriotyczne u Żydów, że Mojżesz musi być przed wszystkim chrobry.

\*\*\* Jabok ku Dekapolis nad odnogą Jordanu.

\*\*\*\* Tę macicę winną, zwaną **Terpolis**, widział jeszcze Flawiusz Józef w świątyni Jowisza Kapitołijskiego, a była ona z napisem: **Aleksander, król żydowski**.

\*\*\*\*\* Judasz Machabeusz.

\*\*\*\*\* Po przywróceniu czci kościołowi postanowił Machabeusz **osiem dni światłości** w trzy lata po profanacji, jak zapowiedziane było u Daniela proroka.

\*\*\*\*\* **Salomonis**, XXI 6: „Dajcie napój mocny ginącemu, a wino tym, którzy są ducha sfrasowanego.”

\*\*\*\*\* Po wiele razy tak chrześcijan i filozofów **razem** wygnaniem jednym dotykano.

\*\*\*\*\* Edykt ten Juliusza Cezara prawie dosłownie przytoczony tu jest.

## XXVI

„Tyś winna - mówił Pomponius do Diwy -  
Że oto dzień ten tyle nieszczęśliwy” -  
I łamał *pedum* kościane jak trzcinę  
Na coraz więcej drobne kawałeczki -

A kość parskająca i złote zeń ćwieczki  
Wylatywały jak skry.  
„Wina winę  
Powiększa - Diwa na to mu odpowie. -  
Gniew, *pedum* niszcząc, nadweręża zdrowie.”\*

„Koniecznym było, zamiast starca budzić,  
Napisać raczej do Zofii słów parę” -  
Pomponius mówił.

„Zamiast palce trudzić  
Łamaniem kości - pisz! - lub czekaj: stare  
Tam są od różnych patrycjuszów karty;  
Wybioreć sama list” - co rzekłszy, z śmiechem  
Wybiegła - niby stając za zasłoną,  
Pobrzmiwającą wszakże kroków echem -  
Tak że Pomponius w głos zawołał: „**Żarty!**”

I chęć mu przyszła niespodziankę ona  
Przedłużyć wiary dziecinnej udaniem,  
Gdy Diwa z twarzą wbiegła rozjaśnioną,  
Mówiąc: „Posłałam - krótki list - **z wyznaniem:**  
**List twój** i kwiaty - po drodze ich wiele  
Zakupić można?-prawdaż? -  
W rzeczach tylu  
Życzenia twoje i pragnienia dzielę -  
Czemuż mam obcą być i w tym? - „

„Motylu! -

Pomponius z zimną ufnością odpowie -

Gdybyś zrobiła to!-”

„Gdybym zrobiła!” -

I wieniec rąk nań białych zarzuciła,

Wśród pocałunków poszeptując: „**Kto wie** - „

\* Ta moralna uwaga o gniewie nie jest wcale obca społeczeństwu starożytnemu, owszem, precepty **higieniczno-moralne** mamy właśnie że z tamtych źródeł

## XXVII

W podróżnym płaszczu, z ogoloną głową\*,

Jako niewolnik lub człowiek ubogi,

Mistrz Artemidor wchodził w Zofii progi,

Postawę **nie swą** mając, raczej ową,

W którą się rzeźbiarz stroi, kiedy bogi

Przedstawiać każą mu śmiertelni ludzie,

Hojni dość, nie dość rozmyślni o cudzie.

Zofia kończyła właśnie swą rozmowę

Z posłańcem, który miał doń list, a leki

I kwiaty z willi przyniósł niedalekiej,

- Od Pomponiusa list, rzeczy nienowe

Powiadający, tym szczególny w sobie,

Że zdał się innej należeć osobie -

I nic o lekach nie mówił od Maga.

Rzuciła go więc, rzekłszy: „Nieuwaga!” -

Skinieniem słudze dając pożegnanie,

Gdy Artemidor siadł i, jak w koronie

Król, za majestat swój mając wygnanie,  
Mierzonym głosem, te jej mówił słowa:  
„Bądź zdrowa! - więcej niż kiedy, **bądź zdrowa!**  
Wybrzeża Galii\*\* dzikiej niezadługo  
Przyjdzie mi oczy oglądać tęsknemi,  
„**Rzymie!** -wołając- **sławo i zasługo!**  
Zniknijcie - ziemio, wracaj się do ziemi!  
**Laury! suchymi rozmiećcie się pyły**” -  
Brak środków dwakroć uolbrzymia siły.”  
To rzekł - lecz, jakby mówił to już pierwej,  
Nie dawał uczuć, aby krócił żale,  
Lub poruszone uspokajał nerwy -  
Swobodny, owszem, i przytomny wcale,  
Nim Zofia z swym się współczuciem ozwała,  
Kwiatami począł bawić się niedbale,  
Kaząc, by leków swych nie przerywała,  
Solennie nagłąc, by nie był natrętny,  
By napój wzięła zbawienny, acz mętny -  
Co też doraźne dało porównanie,  
Iż nie mniej gorzkie, a przyjął - wygnanie! –

Więc Zofia, leżąc, rękę mu podawszy,  
Chyliła do ust małą amforę,  
Rumieniec mając coraz to jaskrawszy,  
Jak gdy weselą się osoby chore.

I obraz to był zaprawdę ciekawy:  
Wygnańca, gdy się z ręką tej kobiety  
Leżącej bawił, wzrok mając bez-łzawy,

Lecz nieobecny, poza miejsce wryty –  
I tej, z rumieńcem swoim chorobliwym,  
Nadobnej, co mu rękę swą podała -  
Leżąc pomiędzy człekiem **nieszczęśliwym**  
A lirą, która z drugiej strony stała -  
Pijąc coś, wzrokiem iskrząc, piersi drganiem  
Coraz to silniej odrzucając szaty - -  
Obraz, nie wiedzieć czyim pożegnaniem  
Napiętnowany, zwłaszcza że tuż kwiaty  
I list rzucony najniebalej leżał;  
Jakby tam przeszedł jeden z onych smutków,  
Co do nikogo z ludzi nie należał -  
Ani należał komu - owoc skutków! –

Po chwili, puste rzucając naczynie,  
Ścisnęła ręką dłoń Artemidora  
I przechyliła k'niemu blade skronie,  
Mówiąc coś, jakby osoba nie chora,  
Lecz jak się dzieci bawią w swej pościeli -  
Rękoma włosy zgarniając na oczy  
Z kwileniem płaczu, to znowu weselej  
Do rozpierzchniętych gadając warkoczy,  
Jak gdy kto z żywym bawi się stworzeniem - .  
„Bądź zdrów!” - wołając, i znowu: „Bądź zdrowa!”  
„Liry mi z sobą nie unieś, bo jęknie -  
Podłyszają szpiegi, co się w lirze chowa,  
Rozbiją na krzyż, że każda z strun pęknie,  
Spadkami pękań tych wyrzekłszy słowa  
Wszystkiego - co jest na świecie coś warte -

A ludzie patrzeć będą, jak ta mowa  
Odleci w lazur, pierś mając rozdarte,  
I jeszcze o drachm **zalożą się parę**,  
Czy też do Grecji szczątki jej dolecą?-

-----

Och! tak jest - mówię ci - kolosy stare,  
Z gajów swych cicho wyzierając, lecą -  
Orfeusz, Homer! - Patrz - „

I wskazywała  
Palcem w zasłony cienie purpurowe:  
„Sokrat - z motylem czy liściem na czole -  
Pokazuje mi coś\*\*\*\* - amfora mała -  
A taki wielki świat! - tak wielkie bole! -  
I śmierć - sen - sen - śmierć - - „

I skołała -  
„Och! niżli pójdę precz - wygnaniec rzecze -  
Trzebaż mi było ostatnią z Hellady  
Pożegnać pierwej? - Eheu! - nie miecze,  
Lecz poniewierka już a skryte jady  
Narodu resztom następują w ślady!”  
- Co że zawołał głosem rozpaczliwym,  
Służebne wbiegły, Egipcjanka z niemi,  
I rozpoczęły nad ciałem nieżywym  
Szlochać - list, flaszkę, kwiaty brały z ziemi -  
Noc nadchodziła: sąsiednie osoby  
Wchadzały, mimo niegościnniej doby.  
Pochodni kilka, tam i owdzie - długo

Noszono - szepcząc, gdy Mistrz, w swej opończy  
Wytartej, stał się pogrzebowym sługą:  
Przyjaźnią, prawdą i bólem okryty,  
Nie myśląc, jak z nim pocznie wieść i skończy -  
Wygnańca nawet zapomniał - łez syty.

\* Dotknięci wygnaniem pozbawieni bywali możności noszenia togi i nieraz w krótkiej sukni, z głową ogoloną, szlachcic rzymski w prowincji oddalonej szkołę zakładał i uczył.

\*\* „**Wybrzeża Galii dzikiej.**” - Lubo państwo rzymskie obejmowało nieledwie świat, linia jednak od dzisiejszego Krymu do Marsylii przez posadę Europy wyciągnięta dałaby **niżej** właściwą ojczyznę Rzymianina, **wyżej** zaś kraje do robienia karier wojskowych i miejsce wygnań. - I jako, na przykład, Ameryka względem Europy bywała i jest krajem ucieczki z różnych przyczyn, tak był naówczas ów obszar środkowej Europy. - Po ukrzyżowaniu Pańskim **Herod, Pilat i ś-ta Magdalena** zostawują wspomnienia, iż w dzisiejszej Francji przebywali; było przysłowiem rzymskim: „**poszedł na ryby do Marsylii**”, co znaczyło, iż wygnany jest albo źle uważany.

\*\*\* Kiedy Sokrates wypić miał truciznę, pocieszany był we śnie przez postać cytującą mu wiersz Homera; widzenie więc to Zofii na tym jest osnute.

## XXVIII

Poza murami, poza czerwonemi,  
Wokoło wzgórza sypanego z ziemi,  
Jako gdy ogień wzniecają pastuchy,  
Ludzie się jacyś krzątali - czy duchy? –  
Gdy wiatr jesienny, idąc po Kampanii,  
Skrzydłami swymi stos poddymał suchy  
I słowa imał śpiewanej litanii,  
Smutki swe do nich mieszając stepowe -  
Dym zwijał w kłęby, albo zażegniete  
Porywał z stosu wieńce cyprysowe,  
Okrągłe - ciskał dalej, rozwinięte -  
Bursztynowymi polewan aromy,  
Palił się stos ów czworobocznie stromy,

A grupy ludzi odeń aż ku bramie  
W zbliżeniach różnych stały. Było rano,  
Chłodno - -  
Mąż jakiś, obrzucając ramię  
Gęstymi płaszczami, za ścianą  
Appijskiej bramy, w którą właśnie bigi  
Wchodziły, szepnął ku towarzyszowi:  
„**Niedługo** konne zaczną się **wyścigi** -  
Jezdnych.” \* - Co ledwo skończył, ludzie nowi  
Od miasta cwałem ku bramie zdążali.  
Jeden z nich łowczym był cesarskiej świty;  
Drugi, jakkolwiek w pół twarzy zakryty  
Od strony, gdzie się stos na wzgórzu pali,  
Dawał się po swej poznać wykwinności,  
Że był Pomponius - „Fatum nam zazdrości  
W wyścigach - oto stos i trup na stosie” -  
Łowczy rzekł. - „Fatum, wstrętne filozofii,  
Hippice za cóż ma uwłaczać w losie?” -  
„Przysiągłbym bowiem, że to resztki Zofii!”  
- K'czemu Pomponius, chyląc się na grzywę,  
Przeto iż cugle legły, a koń skrami  
Rażony, szyję podejmował krzywe:  
„**Nie mięszaj że mnie** - odparł - **z wygnańcami.**”  
I ręką chroniąc wzrok od wschodu słońca,  
Trzeciego zdał się upatrywać gońca - -  
-----  
Poza murami, poza szerokiemi,  
Droga się w wąwóz zakrzywiała czarny  
Z kamienia, miękkość mającego ziemi

Zmarzłej - lub jako żużel jest pożarny,  
A kamień taki **tuffo\*\*** się nazywa,  
Topora cięciu echem nie odzywa.  
Tam w czeluść groty mimo bliskiej drogi  
Wnosili męże trzej rzecz płaszczem krytą;  
Gdy jeźdźcy nasi, w kształt konnej załogi,  
Wąwozu czarne mijali koryto,  
Niesionej rzeczy błysły w cieniu **nogi** -  
Że je, z pośpiechem uchodząc, odkryto -  
Białość i zmarszczki mające sędziwe,  
A jako zmarły kwiatu pąk, **nieżywe**.  
Mąż, co je spuszczał w grotę\*\*\* ręką lewą,  
Podrzucił prawą ku jeźdźcom, jak drzewo,  
Kiedy je skręci wiatr, i za rumakiem  
Pulchra coś wołać wszczął tej ręki znakiem,  
Jakoby mówić chciała ta osoba:  
**„Pomóż grześć starca, odpoznaj Barchoba!”**  
- Gdy grzywy poświst i szelest klamidy  
Zdawał się odrzec: „Nie znałem was - •ydy!”

\* **Konne** wyścigi **jezdnych** - ten wyraz znaczy tu po rzymsku **jezdnych**, to jest: szlachty rzymskiej.

\*\* **Tuffo** - kamień czarny, miękki. Najstarsze groby, np. Scypionów, z tego kamienia są robione; **groby**-nie zaś **sarkofagi**.

\*\*\* Nie tylko palono na stosach, ale i sposobem orientalnym grzebano w jaskiniach; nawet pieniądze w usta

kładziono grzebanym, pod koniec bowiem Imperium, i już od połowy ciągu jego, grzebano na sposoby każdemu wyznaniu właściwe.